ŁOWIEC POLSKI



GŁUSZCE GRAJĄ... fot. W. Korsak

ORGAN POLSKIEGO ZWIĄZKU ŁOWIECKIEGO

Nr 2 (945) Marzec-Kwiecień 1947 Cena zł 35

PROTOKÓŁ

Literackiego Sądu Konkursowego odbytego w dniu 13 kwietnia 1947 r.

Na wezwanie Redakcji „Łowca Polskiego"; zamieszczone w n-rze 6-m z 1946 r., do Konkursu Literackiego na utwór beletrystyczny na tematy łowieckie zgłoszono do dnia 1.IV.1947 r. 25 prac. Po szczegółowym zapoznaniu się z dostarczonymi utworami i po omówieniu ich treści i formy na wspólnym posiedzeniu, Sąd Konkursowy w składzie kolegów: Stefana Krzywoszewskiego; Józefa Skrzypka i Józefa Gieysztora, wydał orzeczenie następujące:

„Stosując się do warunków Konkursu, przewidujących przyznanie 3 nagród za prace najbardziej wyróżnione oraz prawo wskazania ponadto innych prac, jako zaleconych do zamieszczenia w „Łowcu Polskim"; Sąd Konkursowy zakwalifikował do odznaczenia 9 prac następujących:

1. „Wiosna na Prypeci" godło „Włóczęga" zakwalifikowania do nagrody I-ej.
2. „Jarzębi Ostrów" godło „Św. Hubertowi cześć" do nagrody II-ej.
3. „Gdy Św. Hubert pierwszy raz poszczęścił" godło „Młody Łowiec" do nagrody III-ej.

Zakwalifikowane do druku w „Łowcu Polskim":

4. „Na stepach południowej Rosji" — godło „Strepet".
5. „Śmierć bohatera" — godło „Odyniec".
6. „Sarniuk uszoł — godło „Sarniuk uszoł".
7. „Jak to było na tokach" — godło „Jak to było na tokach".
8. „Spotkanie" (wspomnienia niemyśliwskie z Syrii) — godło „Em-Eska".
9. „Najdziwniejsza na świecie przyjaźń" — godło „E.Ski".

Po otwarciu kopert, autorami prac wyróżnionych okazali się koledzy:

Nr. 1—inż. Stanisław Hahn, Warszawa — nagroda I.
Nr. 2—Zbigniew Kowalski, Warszawa — nagroda II.
Nr. 3—Władysław Fafiński, Działdowo — nagroda III.
Nr. 4—inż. Stanisław Hahn — Warszawa — zalecone do druku.
Nr. 5—Włodzimierz Korsak, Gorzów — zalecone do druku.
Nr. 6—inż. Władysław Łatkiewicz, Warszawa—zalecone do druku.
Nr. 7—inż. Władysław Łatkiewicz, Warszawa—zalecone do druku.
Nr. 8—mjr. Mieczysław Skonieczny, Inowrocław — zalecone do druku.
Nr. 9—E. Szamborski, Rypin — zalecone do druku.

STEFAN KRZYWOSZEWSKI
JÓZEF SKRZYPEK
JÓZEF GIEYSZTOR

Warszawa, dnia 13 kwietnia 1947 r.

P.S. Autorowie pozostałych prac, pragnący otrzymać zwrot maszynopisów, zechcą powiadomić o tym Redakcję „Łowca Polskiego" — Miedziana 4a.

ŁOWIEC POLSKI

ORGAN POLSKIEGO ZWIĄZKU ŁOWIECKIEGO

Nr 2 (945) 1947 Marzec-Kwiecień



Marszałek Żymierski na polowaniu

W czasie pobytu na Wybrzeżu Marszałek Polski, M. Rola Żymierski, wziął udział w polowaniu na dziki, urządzonym w dn. 24 lutego b. r. przez Dyrekcję Lasów Państwowych Okręgu gdańskiego w lasach Nadleśnictw Skrzeszewo i Stemrel.

Na rozkładzie były cztery dziki. Marszałek zdobył grubego odyńca.

TADEUSZ SLIWIŃSKI

Najszczytniejsze łowiectwo

Pomiędzy różnymi rodzajami łowów, są niezaprzeczenie pewne, które dają swoiste emocje. Myśliwy, mający do wyboru w jednym dniu dwa różne polowania, wybierze to, które go więcej pociąga, które dać mu może więcej wrażeń czy zadowolenia, które bardziej odpowiada mu subiektywnie. Jeden myśliwy woli polować wiosną na cietrzewie, inny na głuszce, tamten woli znów wabić i łódką pojechać na kaczory, ten przenosi znów słonki, lecz niezaprzeczenie pewne kategorie łowów wybijają się ponad inne. Nawet i polowanie na zające daje różne emocje, bo przeciętny myśliwy woli strzelać do kota w lesie aniżeli w polu, a znowu w lesie przenosić będzie polowanie z ogarami nad pędzenie z naganką.

Są łowy, gdzie myśliwy jest tylko strzelcem, ale są i takie, gdzie oprócz strzelania wchodzą w grę i inne jeszcze zamiłowania i umiejętności. Ta druga kategoria łowów, to połączenie kilku upodobań i skłonności z równoczesnym odczytywaniem według znaków zwierzyny księgi przyrody, zaś ten zespół różnorodnych przeżyć potęguje oddziaływanie pewnej kategorii łowów na myśliwego i sprawia, że on o tym rodzaju polowania stale myśleć będzie i przeniesię je nad inne.

Polowanie na płową zwierzynę, wymagające poza umiejętnością strzelania jeszcze sztuki wabienia, tropienia i podchodzenia, należy do najwyższej klasy łowów. Inteligencja jelenia, przenikliwość łosia, ostrożność daniela, są to prze-

szkody o specjalnej wadze, są to właściwości, z którymi każdy myśliwy liczyć się musi. Przy tego rodzaju polowaniu chodzi głównie nie o emocję wynikającą z ubicia pięknego zwierza, jaką mamy np. przy zabiciu dzika lub wilka w nagance. Łowy takie dają nieporównanie więcej. Myśliwy poszukuje i tropi zwierzynę płową nie tylko dla tego, aby strzelić, ale przede wszystkim, aby rozeznać zwierzę i określić jego jakość, i to samo poszukiwanie już zniewalające do samoistnego działania, w zupełności pochłania myśliwego, i wymaga specjalnych umiejętności i zamiłowania. W tego rodzaju łowiectwie nie wystarcza jednak ani doświadczenie ani umiejętność, potrzebne jest jeszcze coś, z czego nie zdajemy sobie sprawy, mianowicie wyzwolone zostają ukryte gdzieś w głębi jaźni myśliwskiej owe prainstynkty łowieckie, które podświadomie kierują drogami myśliwego. Przytłumione przez współczesne zautomatyzowanie życia zmysły nastrajają się na specjalną wrażliwość, czucia wysubtelniają, a żyłka myśliwska znajduje całkowite drogi ujścia. Łowy tej kategorii wymagają też od myśliwego dokładnej znajomości życia i zwyczajów zwierzyny, wymagają studiowania nie tylko w czasie polowania, zmuszają one do różnorodnych obserwacji i analizy, do wymiany spostrzeżeń, do korzystania z doświadczenia innych, do studiowania obyczajów łosia, daniela, jelenia, do rozeznania charakteru jednostki, którą się pragnie ustrzelić.

Zapewne, że myśliwy polujący za pomocą podchodu na płowego zwierza, może posiłkować się przewodnikiem czy leśnikiem, lecz wówczas ze skarbca wrażeń, jakie dają tego rodzaju łowy, traci najcenniejsze uroki; dostaje mu się na własność tylko nieznaczna część emocji w stosunku do tego, jaką by uzyskał, gdyby był samodzielnym myśliwym, a nie tylko strzelcem, biorącym na cel to, co wskaże mu leśnik.

Samodzielnie polować na grubszego zwierza nie można od razu. Trzeba znać knieję, należy poznać zwierza, z którym będzie się mieć do czynienia, trzeba umieć wyszukać łowną sztukę, a to wymaga czasu i znajomości rzeczy. Dla tego też początkowo dobry przewodnik jest nieodzowny i pożyteczny. Młody leśnik znający zwierza i knieję może być nauczycieleem starego myśliwego, jeśli ten samodzielnie nie tropił i nie podchodził. Lecz kiedy zdobyłeś jeden i drugi wieniec czy rosochy, wówczas trzeba samego siebie wyzwolić i pasować na łowcę. Należy ze strzelca przekształcić się na samodzielnego myśliwca, który na szalę powodzenia rzuci własne poznania, własną energię i przezorność, własne instynkty i zmysł tropiciela.

Polowanie połączone z tropieniem, podchodzeniem, wabieniem jest jakby wysoką grą. Jeden niebaczny krok, lub niewłaściwy ton może zepsuć na długo czasem kilkudniową pracę za upatrzonym zdaleka zwierzem. Spokój i opanowanie musi cechować myliwego jako tropiciela i strzelca, a przezorność winna kierować jego krokami na tłokach jelenich. Żądza zdobycia i gorączka strzału, jako ostatniej stawki, winna być hamowana rozważaniem szans powodzenia i rzeczywistą wartością wieńca.

Samotny myśliwy, podchodzący w puszczy, na głos lub po tropie jelenia, wstępuje w zupełnie inny, pierwotny świat, bierze jakby na się rolę zupełnie odmienną od tego, co na polowaniu zazwyczaj przeżywa. Zamiast jak na nagance nastroju wesołego i pełnego chęci do konkurencji i kawałów wśród współtowarzyszy, staje się łowcą poważnym i skupionym. Żyje on często wśród dzikiej przyrody, wśród puszcz pierwotnych, jak żył jego przodek przed kilkuset laty lub nawet przed laty kilku tysięcy. Żyje on życiem zwierzyny i do niej musi się zazwyczaj nałamać. Przebywa często w najbardziej prymitywnych warunkach, jak żyją myśliwcy w dziewiczych puszczach lub stepach i ten egzotyzm dostraja go do życia pierwotnych tropicieli. W dzień śpi, w nocy wysłuchuje, a krążącego zwierza szuka w mrokach wieczoru lub przedświtach poranku, i dzieje się to wówczas, kiedy zachodzą najcudniejsze przemiany w naszych borach, kiedy efekty świetlne wschodu i zachodu słońca grają najpiękniejszymi kolorami na różnobarwnym jesiennym listowiu. W tych warunkach myśliwy podkradając się pod zwierza musi na wszystko bacznie zwracać uwagę. Nic nie może ujść jego wzrokowi i słuchowi. Musi on wpierw zoczyć zwierza niż zwierz jego. Użycie broni jest tylko ostatecznym, lecz nieznacznym fragmentem jego roli, podczas gdy całe postępowanie, przed tej broni użyciem, jest niezmiernie różnorodną, a często skomplikowaną akcją, jest sztuką o wiele wyższą niż wzięcie na muszkę i pociągnięcie za spust.

Aby przezwyciężyć osobliwe trudności na tłokach jelenich przed dojściem do strzału, myśliwy musi mieć pewne specjalne walory dla ominięcia tych przeszkód, jakie powodują subtelny węch, nadzwyczajny słuch; ostry wzrok i wrodzona inteligencja zwierzyny płowej. Przeszkodą w podejściu grubego jelenia jest też prawie nocny tryb życia tego ostrożnego zwierza; przeszkoda ta zmniejsza się w czasie rykowiska, lecz w tym okresie powstają nowe trudności, które wynikają z tego, że chmara pod czujnym okiem przodownicy stanowi wielowzrokową straż swego padyszacha. To wszystko powoduje, że łowy na jelenia czy łosia zaliczone są do wysokiej klasy łowów i ten myśliwy, który samodzielnie tropi, śledzi, podchodzi i ustrzeli pięknie uwieńczonego byka lub jelenia selekcyjnego, zasługuje w zupełności, jak każe tradycja, na złom jedliny. Czy możemy z tego rodzaju polowaniem porównać polowanie z podjazdu lub z ambony czy wreszcie nanagance?

Myśliwy, przyjeżdżający do własnego czy dzierżawionego łowiska lub rewiru, gdzie dany mu jest odstrzał, winien przede wszystkim zorientować się w ilości i jakości znajdującej się w jego łowisku płowej zwierzyny. Łatwo bowiem może się zdarzyć, że pierwszego zaraz dnia, idąc na głos zwierza lub wabiąc go; spotka się z niezłym jeleniem i ustrzeli jakiegoś średniego dwunastaka, podczas gdy w łowisku są znacznie mocniejsze byki o całą klasę przewyższające ubi-

tego. Później dowiaduję się on z opowiadań lub ze znalezionych zrzutów, że w jego rewirze miały ostoję znacznie mocniejsze byki i zamiast z zadowoleniem z niechęcią patrzy na zawieszony na ścianie wieniec. Dla tego więc, aby w przybliżeniu zorientować się, co posiadamy w rewirze, należy w pierwszych dniach wysłuchiwać ż wieczora i nad ranem.

Nie ulega wątpliwości, że interesujący się w swym rewirze jeleniami leśnik może niekiedy dobrze poinformować, jakie sztuki znajdują się w łowisku i gdzie oraz kiedy można je spotkać, ale wobec tego, że ruch w śród jeleni na początku rykowiska odbywa się w specjalnych kierunkach i do wybranej ostoi przyciągają nowe byki, a natomiast stale przebywające rogale przenoszą się w inne strony, informacje te mogą nie zawsze odpowiadać stanowi istotnemu i wprowadzać w błąd myśliwego. Dlatego też jest rzeczą nieodzowną, aby myśliwy, po przyjeździe, zorientował się sam osobiście przez wysłuchanie ryku i odczytanie tropów jeleni, ile mniej więcej i jakie przypuszczalnie byki znajdują się w łowisku. W każdym rewirze znajduje się zazwyczaj jeden byk mocny, a czasem nawet kapitalny i równocześnie kilka średnich oraz kilkanaście słabszych. Ze względów ilościowych oraz z powodu mniejszej ostrożności byków młodych najłatwiej spotkać się z tymi słabszymi. Myśliwy powinien jednak ignorować słabsze, a koniecznie, czy to przez podchodzenie ryczącego, czy też zaczatowanie się nad przesmykiem według odczytanych tropów spotkać się z najmocniejszym.

Do dobrych wyników dojść można wówczas, gdy:

1) w łowisku jeleni nie powinno być zbyt dużo,

2) stosunek łań do byków winien wynosić jak 1:1 lub najwyżej jak 1:2,

3) należy ochraniać dobre, młode byki, rokujące dobre wieńce, a odstrzeliwać jelenie selekcyjne, nie mające warunków na normalny rozwój wieńca,

4) jeśli odstrzeliwuje się byki grube lub kapitalne, to po przejściu optimum ich rozwoju,

5) należy pozostawiać przynajmniej jednego z najsilniejszych jako reproduktora i protoplastę rodu;

6) należy dbać o pożywienie dla płowej zwierzyny, zwłaszcza w drugiej połowie zimy.

Znany myśliwy — jeleniarz, ś. p. Stanisław Zamojski z Trzebieni, którego wieńce na wystawie w Berlinie wzbudziły zaciekawienie i zyskały wiele nagród, uważa, że potrzeba dużo cierpliwości, aby dochować się jeleni o pięknych wieńcach. Przed wojną, w Trzebieni na 5000 ha przebywało około 400 sztuk jeleni, a schodziło się na rykowisko 600—800 sztuk, tak że byk, który musiał obsłużyć 30 łań, miał organizm wyczerpany i w następnym roku nie mógł pokazać wieńca imponującego wielkością i wagą. Wieńce przed pierwszą wojną (r. 1914 —1918) w Trzebieni dochodziły w wadze do 4—5 kg. Przed wojną ostatnią (rok 1937) w Trzebieni było jeleni czterdzieści, w tej liczbie zaledwie 14—16 łań, z których odstrzeliwano rocznie 5—8 sztuk i około 5—6 cieląt. Byki dorosłe, t.j. dwunastaki, czternastaki i wyżej prowadziły podczas rykowiska dwie lub trzy łanie, a wieńce ostatnich lat osiągały wagę od 6 do 7,5 kg. Postęp jak widzimy jest widoczny, a piekne rzeczywiście trofea są istotną nagrodą.



Byk z Trzebienia — fot. A. Tarnowski

W czasie polowania na jelenie musimy dużo uwagi poświęcić **kierunkowi wiatru** i często ten kierunek kontrolować. Obserwowanie kierunku wiatru winno wejść w zwyczaj polującego na jelenie przez podchód. Najlepszą nauką podchodzenia z uwzględnieniem wiatru jest polowanie na rogacza, ale oczywiście nie z podjazdu. Polowanie z wytropieniem rogacza i samoistne podchodzenie jest dobrą szkołą, bo aczkolwiek rogacz jest mniej ostrożny aniżeli jeleń, i znacznie łatwiej reaguje na dobre mikotanie, to jednak podchód i wabienie rogacza daje cały szereg podobnych sytuacji i zniewala przy podchodzeniu do wdrożenia w posiłkowaniu się wiatrem. Dotyczy to szczególnie młodszych myśliwych, którzy, uprzednio, nim zaczną polować na jelenie, powinni się obznajmić ze sposobami tropienia, podchodzenia i wabienia rogacza w lesie.

Wiatr ranny często ulega zmianie, zdarza się nieraz, że wychodzimy przy jednym kierunku i szybkości, a wracamy przy zupełnie innym wietrze. Szybkość wiatru zazwyczaj ze wschodem słońca wzrasta, a z zachodem maleje. Musimy też zdawać sobie sprawę, że kierunek wiatru zmienia się w zależności od konfiguracji terenu i że przyziemny ruch powietrza, spotykając przeszkodę w postaci pasma gór lub wysokiego lasu, może się zmienić w pewnym miejscu i to w zupełnie nieoczekiwanym kierunku. Również wpływ na kierunek przy słabym wietrze może mieć zmiana w szacie roślinności na powierzchni ziemi, przez którą przechodzimy. Tak więc wilgotne łąki, bagniska i lasy wchłaniają w siebie wilgotne powietrze, którego temperatura wraz z dniem stale zazwyczaj wzrasta. Tereny takie jakby poniekąd hamowały przyziemny ruch powietrza, natomiast zwały kamieni, przestrzenie piaszczyste, suche łąki, łany zbóż wytwarzają termiczne prądy wznoszące. Myśliwy polujący na jelenie musi sobie zdawać sprawę z uzależnienia ruchów powietrza od temperatury, tak więc od wschodu słońca do godz. 3 ewentualnie 4-tej po południu z nagrzanych otwartych hal, polan czy wyrębów, powietrze dzięki t. zw. prądom termicznym podnosi się ku górze, maskując poniekąd jak by obecność myśliwego. Natomiast na tych samych terenach wieczorem mamy prąd powietrza ku dołowi i te czynniki, które wytwarzały prądy wznoszące, będą działać w odwrotnym kierunku t. j. będą wytwarzać prądy zstępujące, a przestrzenie, które przez cały dzień wchłaniały w siebie ciepło, będą wypromieniowywać takowe. Godziny zatem przed zachodem jako też wschód słońca są zazwyczaj momentami dla wyjścia z równowagi przyziemnych prądów powietrza. Na prądy wznoszące wskazują często chmury — cumulusy, również też przed nadciągającą burzą powstaje prąd wznoszący.

Dla tego też tropiąc jelenia i wchodząc z jednego typu powierzchni do innego, lub z przestrzeni zarosłych na otwarte lub odwrotnie, albo z przestrzeni płaskich na wzgórzyste, lub przechodząc z jednej strony górskiego grzbietu lub przełęczy na drugą, należy zatrzymać się i sprawdzić czy czasem byk, którego słyszymy, a do którego, jak nam się zdaje, idziemy z dobrym wiatrem, wskutek zmiany kierunku tegoż, nie zwietrzy nas wcześniej, aniżeli my zdążymy go wypatrzyć. Wobec tego, że wiatr płynący ponad lasem ma większą szybkość aniżeli interesujący myśliwego przyziemny wiatr w lesie, możemy spotkać się też z objawem, że na skraju lasu górny wiatr zmieni kierunek, tak że naprzykład wychodząc z wiatrem z lasu na większą polanę, możemy mieć wiatr, który będzie wiał nam w twarz.

Albert Mniszek w artykule „Jeleń w Karpatach" Ł. P. 15/1913 daje następujące wskazówki odnośnie wiatru w górach. „Co do kierunku wiatru wiejącego po stokach i jarach górskich pamiętać należy o następujących danych: 1) W jarze wieje wiatr z biegiem wody potoka, a więc z góry w dół; 2) Na stokach przed wschodem i po zachodzie słońca wieje wiatr z góry w dół, w czasie zaś od wschodu do zachodu słońca przeciwnie wieje z dołu do góry. 3) W górach wysokich wieje wiatr na stromych stokach, gdy są zacienione z góry w dół, a gdy zaś oświecone słońcem — z dołu do góry".

Ostrość wiatru u jeleni jest bardzo znaczna. Przy bezwietrznym stanie powietrza może jeleń na 200—300 kroków zwietrzyć człowieka. W zależności od siły wiatru i wilgotności może ten stosunek ulegać wydatnej zmianie. Ostry porywisty wiatr rozprasza zapach, który wydaje podchodzący człowiek, dzięki czemu przy takim wietrze najłatwiej jelenie podejść, tymbardziej, że szum lasu i trzeszczenie gałęzi łagodzą chrzęst, jaki powoduje stąpający po leżącym chruście myśliwy. Nieraz udawało mi się przy mocniejszym wietrze podpełznąć na kilkanaście kroków pod jelenie, nawet pod pasącą się łanię z cielęciem. O tym niebezpieczeństwie wiedzą stare rogale i nie wychodzą w czasie silnego wiatru z głębi gęstwin.

Również jak tropieenie tak też podchodzenie płowego zwierza jest specjalną umiejętnością. W Niemczech myśliwy, umiejący podchodzić pod zwierzynę, ma specjalną nazwę: ;;Pirschjaeger", a umiejętność podejścia jest uważana za najwyższą myśliwską sztukę. Zwłaszcza trudno jest podchodzić na równym terenie, zarosłym jednostajnym mało podszytym lasem.

Czy przy każdym stanie powietrza można zwierzynę podchodzić? Na to pytanie można odpowiedzieć twierdząco, od stanu jednak pogody należy uzależnić sposób podchodzenia. Długotrwała susza daje mniejsze szanse podejścia, gałęzie pod stopami trzeszczą, łatwo się łamią i często nieostrożny krok, zwłaszcza w ciemnościach, może wywołać przy następowaniu na susz silniejszy trzask. Wówczas idąc trzeba porykiwać, aby znajdujące się w pobliżu jelenie myślały, że trzask wywołuje idący byk. Podejście w czasie suszy jest naogół trudne i lepiej ograniczać się do łąk, rowów lub siedzenia obok uczęszczanych przesmyków. Najlepszą porą dla podchodzenia, oprócz silnego wiatru, jest okres po deszczu, bo gałęzie nie tak silnie trzeszczą, a odgłos kroków jest przytłumiony. Ważnym przy podchodzie jest wykorzystywanie suchych rowów leśnych a również sągów drzewa. Należy

pamiętać,, że najtrudniej rozpoznać w lesie przedmioty nieruchome. Jeleń zoczywszy z dala myśliwego, stoi w miejscu jak pień, jakby wiedział, że przez to jest trudniej dostrzegalny.

Jeśli określimy mniej więcej miejsce, gdzie znajduje się wysłuchany przez nas rogal, lub przez lornetkę zoczyliśmy chmarę, to po zbadaniu kierunku wiatru musimy ustalić punkt wyjścia, z którego zaczniemy podchodzić zwierza. Oczywiście do punktu tego musimy się dostać, nie rzadko kołując i cofając się w zakryte przestrzenie, aby zwierz nas nie spostrzegł. Nie zawsze najkrótsza droga prowadzi do celu, często trzeba dobrze nałożyć, aby wybrać właściwy kierunek, to jest aby iść pod wiatr. Możemy też wybrać drogę na ukos w stosunku do wiatru, o ile ta ostatnia będzie nam dawać lepsze przykrycie i pozwoli przesuwać łatwiej od jednego do drugiego zakrywającego drzewa czy krzaku. Trzeba też mieć na względzie, że zwierzyna żerująca posuwa się również pod wiatr i dla tego miejsce, z którego zaczniemy podchodzić dla dojścia do strzału, trzeba sobie wypośrodkować w zależności od szybkości z jaką zwierzyna sznuruje i z jaką sami będziemy mogli się posuwać. Jeśli zwierzyna pasie się na zupełnie otwartej przestrzeni, to można zbliżyć się przez podczołganie, ale sposób ten jest męczący i nie każdy ma dostateczną zręczność i siłę aby przeczołgać się po nierównej przestrzeni kilkaset kroków. Należy też w czasie podpełzania stale obserwować zwierzynę i leżeć bez ruchu, jeśli ona oczy ma zwrócone w naszą stronę. Jeleń jest przyzwyczajony do pewnego wzrostu człowieka stojącego czy idącego, a więc ogólnie do pewnej wysokości, na leżącego w bezruchu mniej zwróci uwagi. Jeśli teren jest trudny do podpełzania i zwierzyna żerująca posuwa się szybko, to lepiej zostawić ją w spokoju, bo takie podpełzanie skończy się najprawdopodobnej spłoszeniem, czego podchodzący za wszelką cenę winien unikać. Cierpliwość przy podchodzeniu jest jaknajbardziej wskazana i lepiej podchodząc wyczekać kwadrans i d.użej, aż zwierzyna się znajdzie w bardziej dogodnym miejscu do zbliżenia, a myśliwy w warunkach dających szanse podejścia, — niż ryzykować podchód, przy którym możemy na długo wypłoszyć z ostoi pożądanego rogala.

Gdy podchodzimy, a odnieśliśmy wrażenie, że przodownica, czy któraś ze sztuk nas zoczyła, to należy zamrzeć w bezruchu i czekać aż occząca sztuka przestanie nas obserwować. Często taki bezruch może trwać i pół godziny, a do obserwującej nas przodownicy przyłączy się jeszcze i kilka innych jeleni. Mogą one przestać oczyć wprost, i zacząć żerować, ale to jeszcze nie dowód, że przodownica nie obserwuje miejsca, w którym spostrzegła coś podejrzanego; trzeba więc czekać i czekać, aż wszystkie jelenie głowy poodwracają i wtedy już z największymi ostrożnościami można zacząć znów podchodzić, wyzyskując wszelkie naturalne zasłony i nierówności terenu. Wogóle podczas podchodzenia nie należy ciągle być w ruchu, przeciwnie często trzeba się przyczaić. Myśliwy podchodząc musi też zwrócić baczną uwagę na konfigurację gruntu, na którym znajduje się zwierzyna i na którym znajdzie się wkrótce sam. Jeśli chmara podnosi się na wzgórze, za które w niedługim czasie się schowa, to lepiej wyczekać na ten moment skrycia, a następnie znacznie zbliżyć się do zwierzyny przez szybkie przejście, lub nawet przebieżenie oddzielającej od wierzchołku wzgórza przestrzeni. Podchodzenie w nachylonej postaci w wysokich trawach może być też skuteczne, ale nie może trwać zbyt długo, bo męczy myśliwego. Można też zrobić tarczę z kilku gałęzi i podchodzić w takim zamaskowaniu zwierza, kiwając się rytmicznie w takt wiatru jeśl takowy wieje. W czasie mgły i na przedświcie, aby zmylić zwierza, którego spodziewamy się w niedalekiej odległości, dobrze nieść na jednym ramieniu laskę, a na drugim sztucer ustawione do siebie pod kątem, co na pewną odległość może imitować rogi. Gdy nie zauważyliśmy w krzakach czy w wysokiej trawie zwierza, który nas obserwował, a ten spłoszony zaczyna uciekać, to trzeba uważać zadanie za skończone, bo jeleń czy łania, a zwłaszcza chmara nie prędko się zatrzyma i przejdzie napewno niemniej jak kilka kilometrów. Jeśli inne jelenie odzywały się w pobliżu, to możemy ucieczkę spłoszonych zatuszować udając ryk rozgniewanego rogala, wówczas te dalej stojące jelenie inaczej reagować będą na panikę i mogą pozwolić jeszcze się podejść. Po spłoszenu zwierzyny może się udać podchodzenie wówczas, jeśli równie silne byki rozpoczną ze sobą walkę o przewodnictwo nad chmarą.

Podchodzenie w zagajnikach, czy gąszczach jest bardzo emocjonalne, ale trzeba umiejętnie wabić, aby przez niewłaściwe odezwanie się nie spłoszyć przedwcześnie zwierza, bo do strzału dochodzi się na odległość kilkunastu kroków, przy tym rozpoznać jakość wieńca i strzelać trzeba momentalnie bo jeśli spóźnimy się o ułamek sekundy to już będzie zapóźno. Dlatego też do ostatecznego podejścia, musimy zniewolić byka przez prowokujące wyzwanie; myśliwy natomiast winien stać jak mur w pewnym zakryciu z bronią gotową do szybkiego strzału.

Ubiór myśliwego, który ma zamiar tropić i podchodzić jelenia, musi być jaknajbardziej dostosowany do barwy lasów jesienią. Jednostajny kolor materiału ubrania zielony czy szary nie można uważać za odpowiedni, bowiem zdaleka widziany ubiór taki tworzy plamę, wpadającą zwłaszcza w oko przy poruszaniu się. Najlepiej zrobić sobie ubiór z materiału, w którym są pomieszane dwa kolory, a więc bronzowy i żółty; lub żółty z popielatym i t. p. Im materiał ciemniejszy tym łatwiej wpada w oko przy jasnym dniu. Zbyt jasny jest mniej odpowiedni wieczorem. Kolor ubrania myśliwego podchodzącego jelenia powinien się składać z takich barw, jakie posiada jesienią w przeważającej ilości nasza najpospolitsza zwierzyna, a więc kuropatwa, zając, słonka. Kontury takiego ubrania nie wypadają z daleka tak ostro i bardziej zlewają się z podszyciem, składającym się jesienią ze zbronzowiałych krzaków, lub różnobarwnego runa i żółtawej trawy. Kolor zielony ubrania nie jest dla

podchodzenia odpowiedni, żaden zwierz, którego włos i futro mają kolor ochronny, nie ma nic zielonego w swoich barwach. Ubranie musi być zrobione z dość mocnego materiału, bo trzeba liczyć się z tym, że wypadnie nieraz dłuższe przestrzenie przepełzać. Nie może też być ubiór zbyt lekki, bo trzeba często dla podchodu wstawać o godzinie drugiej w nocy, kiedy temperatura jesienią jest bliska zera. Trzeba też w ubiorze unikać błyszczących o równej płaszczyźnie guzików i wszystkiego tego, co by mogło zawadzać lub zabrzęczyć. Kieszenie powinny być głębokie, aby w nich można schować naboje, muszlę do wabienia i termos z herbatą, która nie tylko dla rozgrzania jest potrzebna, ale dla zwilżenia gardła przy wabieniu. Torby, ładownicy, manierki lub trąby i niczego innego poza bronią, nie należy przewieszać, bo w czasie podchodzenia możemy takim przedmiotem zawadzić o krzak czy gałąź i wydać przez to dźwięk metaliczny, który spowoduje przedwczesną ucieczkę zwierzyny. Wszystko co konieczne dla polowania z podchodu powinno być pochowane we właściwych kieszeniach. Obuwie należy mieć wychodzone i wygodne, o podeszwach gumowych, które są bardziej przy podchodzeniu wskazane, bo tłumią stąpanie, a przy chodzeniu po chruście znacznie zmniejszają trzeszczenie. Gumowe podeszwy, jak wogóle gumowe obuwie, jako myte wodą, wydaje też mniejszy zapach aniżeli skórzane czyszczone pastami i dla tego trop człowieka krócej wydaje odwiatr i mniej budzi podejrzeń.

T. Śliwiński

(dok. nastąpi)

ZBIGNIEW KOWALSKI

Toki głuszczowe w Białowieży

I.

Od początku układało się wszystko jaknajgorzej.

Najprzód praca zawodowa przywiązała mnie tak mocno do biurka, że ani nawet marzyć nie mogłem o wyrwaniu się z Warszawy. Potym nawalił nam samochód, bez którego znalezienie się w Puszczy, wobec zerwanych jeszcze torów kolejowych, stawało się mocno problematyczne. Wreszcie, jako że wszystkie nieszczęścia chodzą zawsze w parze albo trójkami, zaczęła się nieprawdopodobna, kwietniowa plucha.

Nabrzmiałe nawałnicą, ołowiane chmury leciały tuż nad ziemią, zawadzając szarymi brzuchami o kominy domów i zręby ruin. Skośny, pędzony wiatrem deszcz zacinał gęstymi falami, to znów siąpał nieustępliwy, gęsty, jesienny.

Niezależnie od pogody rozmowa z każdym, kto usłyszał o zamierzonej przez nas wyprawie, wyglądała następująco:

— Jedziesz podobno na toki?

— Jadę.

— Można wiedzieć dokąd?

— Do Białowieży.

— Do Białowieży? W Białostockie? Człowieku, ty masz przecież żonę i dzieci.

— Mam. Ale co to ma do rzeczy.

— Jakto, nie rozumiesz? Trzeba ci tłumaczyć. Przecież bulbowcy, banderowcy, bandziory, dezerterzy...

Tego rodzaju wszystkie jak spod stempla rozmówki powinny były podziałać na nas pesymistycznie i niezachęcająco do wyjazdu. Powinny też były kazać nie przełamywać tysiąca piętrzących się trudności. Jednak...

Jednak na przekór wszystkim przeciwnościom, znalazłszy amatora, właściciela samochodu, w pogodę jeszcze chyba gorszą jak w dniach ostatnich, wczesnym rankiem zdecydowaliśmy wyruszyć z Warszawy we trzech.

Do jednego się tylko muszę uczciwie przyznać, że przestrogi podziałały na mnie o tyle, że zamiast przechowanego przez czas okupacji Scholberga — zabrałem ze sobą do Puszczy kupiony okazyjnie gruchot, starą dwunastkę.

Białowieża, 12 kwiecień 1946 r.

Deszcz ze śniegiem obmurowuje przednią szybę Opla, wiatr gwiżdże przez nieszczelną, składaną z kawałków karoserię; zimno zaciąga od blaszanej podłogi. Poza tym samochód gruchot stary, jak i strzelba, rachityczny i dychawiczny, zacina się co kilkanaście kilometrów, tak, że dopero koło południa osiągamy Siemiatycze.

Tam jednak wynika nowa, nieprzewidziana zupełnie przeszkoda. Mianowicie strajkuje nam szofer, oświadczając, że dalej nie jedzie; że boi się band; że mu życie miłe itd. Jako jedyny i ostatni argument pozostaje nam zajechać na posterunek M. O. i zasięgnąć tam opinii czynników oficjalnych. Mechanik na takie rozwiązanie zagadnienia łaskawie przystaje.

— Do Bielska możecie obywatele jechać spokojnie.

— A dalej?

— Dalej jest z bezpieczeństwem gorzej, szczególnie między Hajnówką, a Białowieżą. Ale najlepiej upewnijcie się co do drogi na posterunku w Bielsku.

Dziękujemy pięknie za informacje i mocno podniesieni na duchu, szofer zresztą najwięcej, ruszamy dalej. Poza zapchaniem się gaźnika i złapaniem hufnala droga odbyła się składnie. Tylko ja, pomagając gorliwie i gwałtownie przy zmianie opony, zbiłem przednią farę Oppla. Ale śpieszyliśmy się przecież bardzo.

W Bielsku konferencja na posterunku Milicji dała zupełnie nieoczekiwane stwierdzenie.

— Na Hajnówkę do Białowieży możecie jechać zupełnie swobodnie, jest spokój. Na Brańsk za to nie radziłbym. A już na Siemiatycze — ani mowy nie ma.

— Właśnie przyjechaliśmy stamtąd.

— Wolne żarty, obywatele.

— Fakt, panie plutonowy.

Szaro robiło się już na świecie, kiedy horyzont daleko przed nami zaczernił się jak okiem sięgnąć smugą sinego lasu, a po tym bliżej najeżył wierzchołkami prastarych świerków. Za Hajnówką utonęliśmy już w Puszczy groźnej chodzącymi od wiatru drzewami, tajemniczej w szarudze wieczoru, przepastnej pierwotną głuszą, wspaniałej niebotycznymi pniami.

W Białowieży pech (zbita szyba) trzyma się nas nadal mocno jak rzep. Deszcz ze śniegiem zamienia się bowiem w lodową kaszę, a wiatr nie wieje już, a cwałuje nad drzewami, jak spuszczony z łańcucha, oszalały pies. Chmury kładą się po samej ziemi niczym dymy, kałuże zaczynają ścinać się lodem.

Park przyjmuje nas smutnym, mrocznym jakby listopadowym krajobrazem. Wypalony pałac patrzy obojętnie czarnymi oczodołami okien na pierwszy po wojnie przyjazd myśliwych.

Nie zastajemy też łowczego Wagnera. Do domu myśliwskiego dobijam się przez dobry kwadrans, strażników szuka Zabłocki po całej rozciągniętej rozrzutnie szeroko, po białorusku, osadzie. Jednym słowem cholera.

Robi się nam nijako. Głośno stukoczą kroki w niezamieszkałym budynku, kryte pięknymi boazeriami ściany odpowiadają zdwojonym echem. Zimno jest w pokojach jak w psiarni, wilgoć skrapla się na długo nieopalanych ścianach.

Tak zbiega do nocy. Koło dziewiątej melduje się wreszcie trzech strażników. Wynajmujemy więc furmanki i zaraz po północy decydujemy ruszać do kniei.

Zdawało się, że może los zechce się nam wreszcie uśmiechnąć.

Zmordowany, nie rozbierając się, walę się na dwie krótkie godziny do łóżka. Zasypiam też momentalnie.

Budzi mnie głośna rozmowa.

Mecenas ryczy głośniej jeszcze niż zwykle, Zabłocki rozstawia czyjąś rodzinę po kątach.

Okazuje się, że to woźnice zastrajkowali i szantażują nas teraz żądaniem 3.000 zł. każdy za 16-kilometrowy kurs na tokowisko.

A tu już godzina blisko pierwsza. Czas najwyższy i ostatni jechać.

Po długich targach, choć właściwie obu hadów należałoby wyrzucić z miejsca za drzwi, jeden wozak decyduje się założyć konia, jako drugą furmankę bierzemy na siłę konia łowczego.. Niech to dzisiaj kolega Wagner zechce łaskawie, złaknionym polowania wyznawcom św. Huberta, wybaczyć.

Bo ciągnie nas do kniei jak magnesem.

Szczególnie, że, o dziwo, kiedy wychodzę przed dom, park dokoła zasłany jest księżycową poświatą niby seledynowym obrusem. Ostatnie strzępiaste chmury uciekają po granatowym niebie, jakby ścigane wstydem. Coraz więcej gwiazd, iskrzących się w idącym na ranek przymrozku, zapala się nad głowami.

— Pogoda.

— A rzeczywiście pogoda.

— Siadać! Poganiajcie Szpakowicz!

Byle prędzej, byle zdążyć. Szczęśliwie droga do Puszczy wiedzie po kocich łbach. Rżniemy więc ostrego kłusa, aż dzwoni żelaztwo wózków i parskają, idące wyciągniętym krokiem, konie.

Z otwarciem drzwi, zbudowanych z masywnych bierwion, świecących jeszcze jasną świeżością, a wiodących do rezerwatu, przez który prowadzi najkrótsza droga do Browska, mamy poważne trudności. Chwała Bogu jeden z wozaków wyciąga z kieszeni klucz wielkości pojedynkowego pistoletu, często widać używany jako wytrych do bramy Parku Narodowego, która zasadniczo otwiera się tylko w dzień i tylko na podstawie przepustki, wydanej przez Dyrektora Karpińskiego.

Dalej ruszamy już szybko, gościniec jest bowiem twardy i pielęgnowany.

Kontrast ciągnącego się wokół nienaruszonego ręką ludzką, dziewiczego pralasu i otwieranych przed chwilą wierzej zostawia dziwnie niepokojące wrażenie przekroczenia jakiejś niewidocznej, a ważkiej granicy.

Niezapomniana jest też ta jazda nocna przez Puszczę.

Księżyc coraz jaśniejszy tnie się przez drzewa, niby srebrzysty dysk wirującej piły. Las — aż do przesytu pełen jest księżycowego blasku. Poświata zalewa środek gęstwiny dzienną prawie jasnością. Jedynie w cieniu drzew przy ziemi panuje mrok głęboki, piwniczny. Dęby olbrzymy opalizują w świetle miesiąca niby pociągnięte fosforyzującym lakierem, masztowe sosny osypane są jakby srebrzystą sadzią, sięgające nieba świerki strojne są znów w lamowane srebrem żałobne krynoliny.

Tak. Niezapomniana jest ta droga nocą przez Puszczę.

Patrząc i marząc zapomina się o pośpiechu, głuszcach i wczorajszym uciążliwym wojennym życiu. Pozostaje instynkt prymitywnego człowieka, tak łatwy do odszukania w duszy każdego prawdziwego myśliwego.

Za krytą gontem bramą wjazdową z Parku Narodowego, zaraz na drugim brzegu Gwoźnej, zmienia się krajobraz jakby nożem ucięty. Niebotyczne drzewa rezerwatu pozostają za nami. Uciekająca coraz dalej czarna ściana boru robi się podobna do poszarpanego masywu górskiego, pełnego ostrych szczytów turni i grani.

Wózki zaczynają się kołysać rozlewnymi ruchami, tempo jazdy spada do polskiego stępa. Jedziemy groblą środkiem rojstu i łozy. To już Nadleśnictwo Browsk.

Droga jest tak beznadziejna, że nie warto nawet i popędzać koni.

— Trudno. Już nie zdążymy — mówię do strażnika.

— Ciężko będzie — odpowiada kiwając się w takt wózka Szpakowicz.

— Ciężko — odpowiada drugi strażnik, Wołkowicki.

Nad lasem, jakby potwierdzając słowa osadnika, przeciąga zapowiedzią świtu przedranny wiatr. Niebo na wschodzie szarzeje nikłym błękitem, jak kopenhaska porcelana.

Wózki kolebią się i trzeszczą coraz bardziej, droga staje się taka, jaka powinna być na toki głuszczowe.

Zrąb. Szyny kolejki. Skrzypienie kół cichnie, stajemy.

Do tokowiska jest jeszcze półtora kilometra.

— Możnaby jeszcze krokiem podgonić.

— To gońmy.

Zaczyna się pół marsz pół bieg. Szczęśliwie droga prowadzi torem, przemy więc naprzód ile sił w nogach.

Ale i tak jest już chyba zapóźno.

Pod nogami bieleją wyraźnie oszronione podkłady, szyny są sine odbiciem jasnego, mroźnego nieba.

Świta.

Tak, nie tylko świta, ale robi się już dzień. Z chwilą kiedy dochodzę do tokowiska jeden i drugi łomot skrzydeł oznajmia, że jest już po czasie. Głuszce spadają na ziemię.

A no, trudno.

Dzień nad drzewami jest coraz jaśniejszy, mrok jak szara mgła wtapia się w ziemię.

Głuszce jednak grają. Ciszej to znów głośniej klekocze pieśń, chwilami milknąc jak fahrdingi w audycji radiowej. Falowanie głosu mówi wyraźnie, że tok odbywa się już na ziemi.

Postanawiam pomimo wszystko podchodzić, bez nadziei zresztą, grającego w gęstym sośniaku koguta.

Ale kogut bawi się ze mną w ciuciu babkę. Śpiewając, cieknie przed siebie jak górski strumyk, zawraca, robi koło i po dziesięciu minutach podchodu jestem w tym samym miejscu, z którego zacząłem podskakiwać ptaka. Jest ta tylko różnica, że na początku szedłem wprost na ostatnią, mrugającą na horyzoncie gwiazdę, a teraz stoję twarzą w kierunku palących się amarantowych i złotych zórz.

Tokowikowi znudziło się tymczasem moje ciągłe nałażenie mu na pięty i zerwał się gromko do lotu.

Koniec. Zbyt łatwo byłoby po 7 godzinach pobytu w Puszczy i tyluż latach przerwy w polowaniu zabić koguta. Zbyt byłoby to nierealne.

Trzeba wracać do kolejki, a jednak...

Nie. Nie trzeba. Głuszec bynajmniej nie wyniósł się w stronę dziennych żerowisk, tylko poderwawszy się zapadł nieco nawet bliżej na sosnę.

Pieśń płynie teraz wyraźnie, zwrotka za zwrotką klaszcze, klekoce i skrzypi.

Podchód gracza po suchym terenie jest zwyczajnym spacerkiem, trzeba się tylko wobec wschodzącego słońca chować przezornie przed wzrokiem ptaka. Trzeba się tak po każdym skoku ustawiać, by głowa koguta wypadała zawsze za strzałą dalszego drzewa.

Widzę gracza coraz lepiej — zupełnie dobrze, nawet za wyraźnie. Siedzi na czubie półtora metrowej sosenki. Obrazek jest dokładnie taki, o jakim marzyłem w ciągu długiego postu łowieckiego. Rozwarty, żółtawy kościany dziób, zjeżona popielata szyja, prężące się w dół brunatne skrzydła, otwierający się i składający z szelestem piór czarny wachlarz.

Łapię się na myśli, że chyba musi być bardzo blisko, jeśli tak wyraźnie dostrzegam najdrobniejsze szczegóły głuszcowej szaty, a nawet korale i bezpiórą mrugającą powiekę.

Tak jest, o nawet grubo za blisko. Za sekundę zobaczy i usłyszy. Jeszcze jedno zgrzytliwe szlifowanie.

Echo strzału tłucze się po lesie, łopocze skrzydłami podniesiony za łeb do góry kogut.

———✱———

Spotykamy się przy buzującym ogniu za torem. Zbyszek przynosi głuszca, jak i mój strzelonego w jasny już dzień. Strzelec Wołkowicki dziwi się jeszcze dalekiemu strzałowi na 80 kroków.

Mecenas wraca bez trofeów markotny i zły. Bo przewodnik był do pieca, teren do bani, strzelba do luftu, a nabój do d...

———✱———

W południe zwiedzamy ocalałe resztki Białowieży. Gabinet zoologiczny wyszabrowany pozostał dość ubogi, ale pozostał. Drzewa parkowe i trawniki są mocno podniszczone przez przemaszerowujące oddziały wojskowe. Ocalałe przed piromanią węgierską budynki stoją puste i wymarłe. Dyrekcja Lasów mieści się bowiem w Białymstoku.

W jednym tylko Zarządzie Parku Narodowego ruch i życie. Niespożyty, pełen młodzieńczego entuzjazmu i wiary w odbudowę tak umiłowanego rezerwatu przyrodniczego, Dr. Karpiński udziela mi dla „Łowca" krótkiego wywiadu.

— Łosi pozostało nam wszystkiego dwie sztuki*), strzeżemy ich jak oka w głowie, ale warunki są bardzo trudne, nawet ciężkie. Straż nie posiada broni, kłusownicy grasują bezkarnie.

— A inna zwierzyna?

— Jelenie i sarny zredukowane są przez wilki i rysie do 25% stanu przedwojennego. Warchlaki wyrżnięte prawie do nogi.

— Nie próbowaliście fladrować drapieżników?

— Tak, ale tu też brak broni stoi na przeszkodzie.

— A żubry? — pyta Zabłocki.

Tu twarz Dr. Karpińskiego rozjaśnia się, promienieje. Widać, że to jego temat ukochany i umiłowanie długoletniej pracy.

— Mamy 26 sztuk. Pięć poszło teraz do Puszczy Niepołomickiej. Pozostała reszta, prawie

*) W lutym 1947 r. po powrocie z Białowieży z radością muszę stwierdzić, że łoszę z łoszakiem widziałem na Browsku na własne oczy.

wyłącznie czystej krwi, rokuje najlepsze nadzieje. Zaczynamy w nieporównanie lepszych warunkach niż w roku 1919-ym.

— A biłgorajski konik?

— Tarpan? Tarpany też udało się nam poodbierać przemyślnym miejscowym włościanom, którzy w chwili bezkrólewia w Puszczy po cofnięciu się Niemców, wyłapali koniki z rezerwatu i zaczęli je zwyczajnie zaprzęgać. Dopiero obława zorganizowana na kilku jarmarkach w Bielsku, Narewce i Boćkach, dała możność odzyskać tarpany i umieścić je z powrotem w zwierzyńcu. — Sztuk jest teraz 20.

Długo ciągnie się rozmowa. Wspólne zamiłowanie łączy tak blisko. Dyrektor nie chce nas puścić, my nie chcemy wychodzić. Więc siedzimy i gadamy.

— A najważniejsze, że Puszcza jak stała, tak stoi i stać będzie — kończy Dr. Karpiński.

14 kwiecień 1946 r.

W południe rozbijamy się na dwie grupy. Zbyszek z Mecenasem zostają w Browsku, ja zaś decyduję się szukać szczęścia na tokowiskach w N-ctwie Starzyna.

Wobec nienasyconych apetytów miejscowych wozaków, z którymi po powrocie mieliśmy całą awanturę na temat, że ostatecznie zgodzona cena 1500 zł. za furmankę rozumie się od jednego, a nie od obu zaprzęgniętych do wózka koni, decydujemy się jechać do Dyr. kolejek w Hajnówce i prosić o wynajęcie drezyny. Kierownik, nader sympatyczny jegomość i do tego jeszcze myśliwy, z miejsca przydziela nam 4-osobową dekawkę na szynach. Szczęśliwie jedyna przeszkoda w postaci benzyny znajduje się w zapasowych kanistrach Oppla.

Szybko przekonywuję się, że motorowa drezyna, to nie tylko ogromna wygoda, ale i niewypowiedziana przyjemność.

Motor grzmi bowiem po lesie z szybkością 60 km. na godzinę, nie zwalniając kładzie się na wirażach, przebija Puszczę na wylot wszerz i wzdłuż, dając w czasie jazdy emocję oglądania bajkowo kolorowego filmu.

Poboczne emocje są też nie małe, gdyż czasem wytoczy się nagle z poza ściany młodniaku brzęcząca i buchająca parą z szerokiego komina kolejka leśna, czasem znów za ostrym zakrętem, akurat w miejscu gdzie tor biegnie stromo z góry, zatarasuje linię szyn gruba kłoda, rzucona nieznaną ręką.

W pierwszym wypadku trzeba jeszcze w biegu zrzucać drezynę w rów i samemu ledwo ledwo uskoczyć w bok przed gwiżdżącym wrzaskliwie na alarm parowozikiem, w drugim dawać kontrparę, jeżeli tak można nazwać zgrzytliwe włączenie tylnego biegu i uciekać ile sił spowrotem.

Niemniej jazda jest rozkoszna. Rzeźki i jędrny wiatr zacina, jakby biczem po twarzach, paląc skórę na brąz. Słońce miga przez drzewa, rozlewając się chwilami na łęgach w złociste południe, to zachodząc znów przedwczesnym zmierzchem w świerkowych gąszczarach. Śmieje się lazurowe niebo nad nami, to znów na setce mijanych mostków z szafirową wodą pod nami.

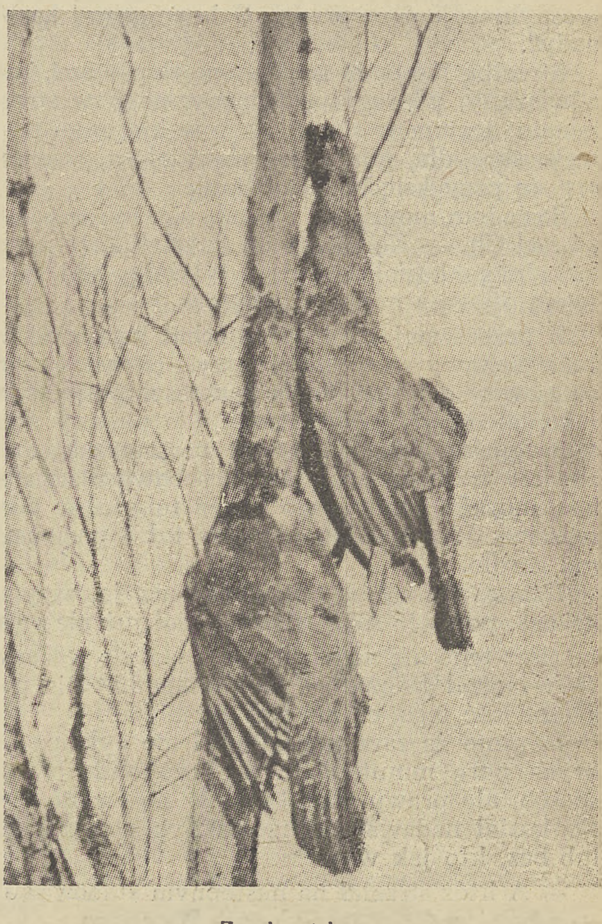
Przez Nadleśnictwo Starzyna jedziemy przeważnie suchorami, mijamy piaszczyste wzgórza, roztwiera się widok na jeden i drugi zrąb. Drezyna przyhamowuje. Nad sosnowym zagajem włóczy się sinawy dym, słychać stukot obciosujących belki siekier. To już Topiła — 26 kilometrów z Hajnówki jechaliśmy 33 minuty. Ta sama droga furmanką trwałaby 5 do 6 godzin.

Przycupnięty na sągu brzozowych szczap czeka na mój przyjazd strażnik Niemcunowicz.

Niemcunowicz jest szary i nikły, jak samodziałowy kubrak, który ma narzucony na ramiona. Niewielkiego wzrostu, trochę przygarbiony, w łapciach, z rosochą w ręku, stanowi kapitalny z dziada pradziada typ, ginącego już niestety w Puszczy białowieskiej osacznika. Lat ma Niemcunowicz chyba ze siedemdziesiąt, ale spojrzenie wyblakłych, jak jesienne niebo, oczu jest jeszcze żywe i ostre. Siwą brodę, rozczesaną po mikołajewsku, utrzymaną ma niezwykle starannie. Kiedy prowadzi mnie do gajówki widzę, że krok jego jest jeszcze zupełnie pewny i sprężysty.

Z. Kowalski

Dok. nast.



Z tokowiska

Na północnym Kaukazie

(Ciąg dalszy)

Pędzenie się rozpoczęło. Zwiastowały to z daleka płynące, a wielokrotnie przez echo powtarzane, okrzyki naganki „nâkua, nâkua!" (po kabardyńsku — idź naprzód).

Niebawem usłyszałem znowu szuranie nóg po suchych liściach. Tym razem w lewo ode mnie i również gdzieś w dole. Wytężyłem wzrok. Widziałem daleko poprzez niegęsty las. Z tej strony żadne krzaki nie przeszkadzały.

Na koniec zobaczyłem. Stadko dzików, których naliczyłem z osiem, sznurowało pnąc się pod górę w stronę stanowiska Safurki. Były zbyt daleko ode mnie. O strzale nie mogło być mowy.

Ale dlaczego Safurka nie strzela? Dziki muszą być już pod jego stanowiskiem. Czas mijał. Strzał nie padł. Pewno i Safurce jakieś krzaki przeszkodziły, a może dziki gdzieś zboczyły?

Na linii myśliwych, na prawym skrzydle — strzał. Mówię na linii myśliwych, bo to samo mogło być i na linii uzbrojonej naganki.

Poza tym cisza, tylko od czasu do czasu zakłócona okrzykami naganki „nâkua!".

Już widać pomiędzy drzewami ciemne sylwetki naganiaczy. Jeszcze kilka minut i naganka wyszła na linię myśliwych.

Koniec miotu, który wbrew moim optymistycznym rojeniom przeszedł bez „gęstej kanonady".

Strzelbę już mam zawieszoną za plecami, koń odwiązany, popręg sprawdzony, noga w strzemieniu; jestem w siodle. Jadę w kierunku prawego skrzydła, gdzie, przypuszczałem, zbierzemy się przy księciu Tausułtanie.

Sąsiadem moim, jak okazało się, był młodszy z braci Ch. — Kokos. To on strzelał. Zabił wcale ładnego koziołka-sarnę. Właśnie stał nad swoją ofiarą z miną triumfatora.

Z przeciwnej strony nadjechał książe Hatażuko ciekawy rezultatów naszych strzałów. Zobaczywszy zabitego kozła zeskoczył pośpiesznie z konia, dobył „podkindżała" (do pochwy normalnego kindżała, od strony wewnętrznej, często jest przymocowana druga pochwa dla małego kindżała, używanego przez tubylców, jako scyzoryka), zagiął łeb kozła w tył i poderżnął mu gardło.

Kokos, nie mniej zdziwiony niż ja, zapytał księcia, po co to robi, wszak kozioł już nie żyje.

„Bez tego nie nadał by się kozioł do jedzenia — wyjaśnił książe, — nam Mahomet nie pozwolił jeść tego, co nie jest zarżnięte".

Pomimo że zarzynany kozioł nie żył już dobrych parę minut, choć w niezupełnie prosty sposób, ale prawu proroka stało się zadość. Teraz kozioł nadawał się na szaszłyk z czosnkiem lub bez, kto jak woli.

— A któż strzelał na następnym stanowisku? — z kolei zadał pytanie książe Hatażuko.

— Ja — przyznałem się bez entuzjazmu i opowiedziałem jak strzeliłem do jelenia przez krzaki, jak łanie stały przy tym na otwartym miejscu i t. d.

— Dlaczego nie strzelałeś do łań, jeżeli do nich strzał był pewniejszy? — zdziwił się książe Hatażuko.

— Nie wiedziałem, że to wolno — odrzekłem.

— A dlaczego było by nie wolno?!

Rodowity Kaukazczyk i ja, myśliwy z Zachodu, nie rozumieliśmy się. Wyczuwaliśmy to obaj, ale przez grzeczność żaden z nas, obawiając się zadrasnąć wzajemnie nieznane obyczaje, nie wszczynaliśmy dyskusji.

W duszy cieszyłem się, że nie strzelałem do łani.

Książe Hatażuko coś powiedział w miejscowym narzeczu poganiaczom zebranym koło nas. Naganiacze związali kozłowi tylne nogi, przyciągnęli ku dołowi grubszą gałąź najbliższego drzewa, nasunęli na nią nogi kozła tak, że gałąź była pomiędzy nimi, puścili gałąź i kozioł Kokosa zawisł w powietrzu.

— Żeby wilki nie mogły go dostać — objaśnił nam książe Hatażuko — później przyślemy po niego.

Gdy wszystko było załatwione na stanowisku Kokosa chcieliśmy odjechać, ale któryś z nas wspomniał, że brak jeszcze Habisza i Safurki. Musieli wszak już dołączyć się do nas. Mieli na to dość czasu. Książe Hatażuko podjął się sprawdzić, co dzieje się na ich stanowiskach i szybko odjechał.

Niebawem zobaczyliśmy dojeżdżających do nas trzech jeźdźców. Zguba się znalazła.

Safurka miał twarz jakby obrzękniętą, a Habiszowi czerwona jego twarz lśniła, jak wysmarowana baranim tłuszczem. Obaj mieli miny z czegoś niezadowolone.

Nic dziwnego. Książe Hatażuko złapał ich na gorącym uczynku i to takim, do którego nigdy sami nie zechcieli by się przyznać. Obaj zasnęli na swoich stanowiskach. Nie słyszeli nawet strzału.

— Karty! Karty! — nie wytrzymał i palnął w kierunku starszego braciszka Kokos. — Mówiłem, żeby iść przespać się trochę, a ty nie i nie... — Masz teraz te karty!

Zgryźliwe przymówienie brata, który nadomiar złego śmiał wyprzedzić starszego celnym strzałem do kozła, rozpętało słowny pojedynek rodzeństwa.

Długo mógłby trwać ten pojedynek, gdyby nie zjawienie się przy nas księcia Tausułtana. Nie mógł on doczekać się nas i sam nadjechał. Relację zajść podczas miotu przyjął z pobłażliwym uśmiechem bez słowa uwagi. Tylko w jego czarnych wąskich oczach, zawsze patrzących wesoło, błysnęła dwa razy ledwo uchwytna is-

kierka ironii. Raz, gdy usłyszał o mojej kurtuazji w stosunku do łań, a drugi raz, gdy doszło do zwierzenia o spaniu Safurki i Habisza.

Książe Tausułtan wydał krótko zarządzenia nagance i ruszyliśmy ku stanowiskom następnego miotu.

Znowu przedzieraliśmy się długo przez zarośla, zjeżdżaliśmy w dół, wspinaliśmy się pod górę. Spory kawał czasu minął zanim zajęliśmy nowe stanowiska.

Linia myśliwych biegła wzdłuż krawędzi wąskiego, otwartego płaskowzgórza, szerokości kilkudziesięciu metrów.

Stanąłem na samej krawędzi. Pod nogami miałem długą, równą, ale dość stromą; zalesioną pochyłość. Las wysokopienny, rzadki, ale dna doliny nie widziałem. Byłem na prawym skrzydle ostatni. W lewo ode mnie, o jakie sześćdziesiąt kroków również na krawędzi zbocza — książe Hatażuko.

Długo czekaliśmy zanim dotarło do nas skądś z dołu, z bardzo daleka echo nawoływań naganki.

Wzdłuż linii myśliwych, po zboczu, w kierunku prawego skrzydła, ale poza zasięgiem strzału, wolno kłusował lis. Chwilami przystawał, nadsłuchiwał.

— Teraz przydadzą się moje ;;loftki" — pomyślałem — ale lis kierunku nie zmienił, przedefilował, więc rozstać się musiałem z zawiedzioną nadzieją, jednocześnie smutnym spojrzeniem żegnając się ze znikającą za drzewami kitą.

Nie długo czekałem na nowe przeżycia. Prawie w tym samym miejscu, gdzie straciłem z oczu lisa, sznurując, wolno pięło się pod górę stado dzików. Naliczyłem ich kilkanaście.

Dziki szły ;;na kulawy sztych", nieco w prawo ode mnie. Już nie wierzyłem swojemu Zakanowi, więc postanowiłem wyczekać nim stado wyjdzie na wysokość mego stanowiska, na zupełnie otwarte miejsce. Gdy całe stado znalazło się na płaskowzgórzu, o jakie trzydzieści kroków ode mnie, wybrałem największą sztukę i strzeliłem. Dzik jakoś dziwnie wierzgnął prawą tylną nogą, jakby chcąc nią spędzić z brzucha muchę, zwolnił biegu, ale szedł dalej. Poprawiłem z lewej lufy. W ślad za moim usłyszałem nowy strzał. To książe Hatażuko chciał dokończyć to, co ja zacząłem. Dzik został na miejscu.

Była to potężna stara locha. Została trafiona dwiema kulami i ,,loftkami".

Sporo czasu jeszcze upłynęło zanim naganka zdołała po stromym zboczu wdrapać się na płaskowzgórze. Już niektórzy naganiacze byli na linii myśliwych, gdy na lewym skrzydle padły jeden po drugim dwa strzały.

Co to mogło być? Niebawem dowiedzieliśmy się, że było to tak. Safurka stał pod kopicą siana. Słyszał moje i księcia Hatażuko strzały. Po dłuższej ciszy zobaczył z boku zbliżających się naganiaczy, więc zdecydował, że strzały musiały wszystko rozpłoszyć — to raz, a po drugie bliskość naganki wyłączała możliwość ukazania się jakiejkolwiek zwierzyny. Usiadł więc pod kopicą, tuż nad krawędzią zbocza, strzelbę położył w poprzek na nogi i zapalił papierosa. Ledwo zdążył zaciągnąć się, jak o jakie dziesięć kroków pod samymi jego stopami z za niewielkiej fałdy terenu ukazał się ogromny czarny łeb. Safurka odruchowo porwał strzelbę i z rzutu strzelił. Kula utkwiła pamiędzy oczami pięknego odyńca. Zwierz padł na miejscu, ale natychmiast zaczął się cofać. Wtedy Safurka strzelił po raz drugi. (Allach miał w opiece naganiaczy). Drugi strzał wcale nie był potrzebny, bo dzik po pierwszym strzale był gotów i już martwy zaczął się staczać w dół. Safurka zaś myśląc, że dzik ucieka od niego poprawił ;;loftkami".

Safurka widać miał szczęśliwy dzień, bo czy spał, czy ćmił papierosa, ale dziki szły na niego; chociaż wszyscy byliśmy świadkami, iż nie miał on czasu przed polowaniem obejrzeć niewieście kolanko.

Dziki zostawiliśmy na łasce losu tam, gdzie padły. Żaden z naganiaczy nie chciał nawet dotknąć się ich, bo wszak to świnie, uznane przez prawo Proroka za stworzenia nieczyste. Ani bracia Ch., ani ja, nie chcąc urażać tubylców; nie ruszyliśmy dzików, choć obawialiśmy się, czy nam ocaleją niezawieszone na drzewach do czasu, gdy będziemy mogli je zabrać.

Dobrze oceniliśmy sytuację, nie tykając ubitej zwierzyny, bo wtedy nasi gospodarze z pewnością nie zaproponowaliby przystąpienia do śniadania wspólnie z ,,zanieczyszczonymi" towarzyszami. Zapasy zawarte w ,,churżynach" (duże tylne juczki, uszyte z wzorzystego, bardzo grubego samodziału) księcia Tausułtana i księcia Hatażuko nie ujrzałyby światła dziennego i nietknięte wróciłyby do domu wraz z nami i naszymi burczącymi od pustki żołądkami.

Z przepastnych ,,churżyn" dobyto suszoną na słońcu baraninę, ,,ławasz" (chleb pszenny wyrabiany w formie placków) i parę butelek ;;araki" (samogon z kukurydzy). Naganiacze rozniecili ogień, kawały baraniny nadziali na oczyszczone z kory patyki, rozsiedli się w kucki dookoła ogniska i zaczęli na tych improwizowanych rożnach smażyć szaszłyk, ten najprawdziwszy klasyczny szaszłyk, nie skażony przez wymyślną sztukę kulinarną, ale w smaku o wiele ustępujący swojemu restauracyjnemu prawnukowi. Wreszcie to rzecz gustu. Wtedy, na świeżym górskim powietrzu, po przeżytych emocjach, jako zagryzka do mętnawej, pachnącej trochę dymem, trochę naftą, ciepłej ,,araki", smakował wcale nieźle.

— No, jeszcze jeden miot! — kończąc jedzenie zawyrokował książe Tausułtan — i do domu.

Dosiedliśmy koni. Ruszyliśmy. Naganka za nami. Zjeżdżaliśmy w dół. W pewnej chwili naganka zmieniła kierunek i znikła pomiędzy drzewami, a my znowu rozpoczęliśmy wspinaczkę. Nie trwała ona długo. Nie docierając szczytu, książe Tausułtan poprowadził nas wzdłuż zbocza przez gęsto podszyty las. Coraz częściej z pod kopyt końskich usuwały się kamienie, coraz częściej omijać musieliśmy złomy skalne. Znowu trochę wspinaczki i książe Tau-

sułtan wskazał stanowisko dla numeru pierwszego.

Mnie w udziale przypadło stanowisko mniej więcej w środku linii myśliwych, na przesmyku, pomiędzy dwoma złomami skalnymi. Przede mną otwarta polana, o łagodnym spadzie w kierunku miotu, gdzie niegdzie porośnięta niewysokimi kępami krzaków. Dalej, o jakie sto metrów, wysokopienny las o gęstym podszyciu.

Byłem dobrze ukryty, sam widząc doskonale. Zaniepokoił mnie jednak lekki wiaterek. Jak na złość dmuchał on ode mnie w kierunku miotu. W górach przy największej nawet ciszy zawsze można trafić na jakiś przeciąg powietrzny. Gdybym miał przed sobą ostry spad terenu, jak na poprzednich stanowiskach, nie obawiał bym się tego zefirku, ale tu, mając przed sobą teren prawie poziomy, mogły być z tego głupiego powodu niemiłe niespodzianki. Trudno, — na to rady nie było, trzeba było stać, gdzie łowczy i los kazali. Stałem więc przytulony lewym bokiem do skały, szperając wzrokiem po przedpolu.

Gdzieś daleko odezwała się naganka i znowu cisza.

W pewnej chwili wydało mi się, że trochę w lewo ode mnie na samym brzegu wysokopiennego lasu, w podszyciu coś wolno przesunęło się, jakby cień, jakby jakieś większe cielsko.

Wytężyłem wzrok. Nie, — nic nie widać. Byłem jednak pewien, że coś się tam ruszyło. Jakaś siła nie pozwalała mi oderwać oczu od podejrzanego miejsca. Znowu ledwo uchwytny ruch pomiędzy krzakami.

Teraz zobaczyłem. W cieniu, pomiędzy dwoma krzakami zarysował się trójkąt ciemniejszy od cienia, rzucanego przez krzaki... Łeb niedźwiedzia.

Nie ruszał się. Zacząłem wątpić, — może wzrok mnie zmylił. Odprężyły się mięśnie rąk, które bezwiednie mocniej ścisnęły strzelbę. Ale znowu skurcz dłoni, bo trójkąt się poruszył.

Tak, — to niedźwiedź, najprawdziwszy niedźwiedź; pierwszy w moim życiu, którego zobaczyłem nie w klatce, nie na łańcuchu...

Wolno wysunął się z pomiędzy krzaków. Szedł wprost na mnie. Chwilami widziałem go całego, jak na dłoni, widziałem jak się kołysał z boku na bok, niby niezgrabnie, a jednak lekko, zwinnie przesuwając łapy.

O strzale nie mogło być mowy na takiej odległości z kulą Żakana w lufie. Gdybym nawet miał sztucer w garści, — wówczas nie strzelił bym, czekając, aż się król puszczy zbliży do mnie na pewniejszy strzał. Przecież szedł tak pewnie, majestatycznie i spokojnie.

Był ode mnie już o jakie osiemdziesiąt metrów. Raptem stanął. Uniósł łeb. Niby słuchał, niby węszył. Krótko to trwało. Chyba nie więcej, jak kilka sekund. Raptem, błyskawicznie wykonał w tył zwrot i tyłem go widział...

Bądź przeklęty przemiły wiaterku, bądź przeklęta moja lekkomyślności wraz z ;;loftkami" w lewej i Żakanem w prawej lufie! W owej chwili wolałem być padliną, co nęci powonienie misia, a nie żywym ludzkim stworem ze wszystkimi jego przywilejami pana wszechświata, z którego zakpić może najbłahszy wiaterek.

Do równowagi przyprowadziło mnie echo strzału, pochodzące gdzieś z dołu i od strony prawego skrzydła.

— A może jeszcze coś zobaczę — pomyślałem. Czekałem.

Na próżno. Po dłuższej chwili dostrzegłem tylko zbliżającą się nagankę. Koniec ostatniego miotu. Dosiadłem konia i pojechałem w kierunku prawego skrzydła, gdzie wyznaczona była zbiórka.

Dojeżdżając do księcia Tausułtana ujrzałem jednego z naganiaczy z wielkim przejęciem mocno gestykulującego i coś opowiadającego księciu. Gdy skończył książe Tausułtan przetłumaczył nam treść opowiadania.

Okazało się, że naganiacz dojrzał niedźwiedzia, który szedł pomiędzy linią naganki a linią myśliwych w kierunku prawej klamry i strzelił do niego. Rezultat strzału był dla misia taki sam, jak rezultat jego cichego spotkania się ze mną, a więc nie szkodliwy dla jego skóry, — najwyżej mógł miś dostać objawów niedźwiedziej choroby.

Z kolei ja musiałem opowiedzieć o swoim nieudanym spotkaniu z niedźwiedziem.

Myślałem, że teraz dopiero zaczną się dowcipy i docinki. Byłem przygotowany na to. Nie. Nawet w lekko przymrużonych, zawsze śmiejących się oczach księcia Tausułtana nie dostrzegłem nic. Patrzały poważnie. Ten wytrawny myśliwy, który w swoim życiu zabił nie jednego niedźwiedzia, a nosił na sobie blizny po misich pazurach, wiedział jak trudne jest w górach polowanie na tego zwierza i ile się powinno doznać zawodów, zanim się zawiesi na ścianie zdobyczną skórę.

Przed wyruszeniem w drogę powrotną książe Tausułtan zapytał Safurkę i mnie, czy chcielibyśmy zabrać ubite dziki. Odpowiedzieliśmy twierdząco.

Książe coś powiedział jednemu z naganiaczy, a nam objaśnił, że nazajutrz rano mamy przysłać na umówione miejsce wóz i dwóch konnych ludzi, ale tylko nie mahometan, którzy się spotkają z naganiaczem, a ten doprowadzi do ubitych dzików i kozła.

Po powrocie do domu, jeszcze z wieczora, zorganizowaliśmy ekspedycję po nasze trofea, które na następny dzień pomyślnie nam dostarczono.

Mój osobisty ordynans, poczciwy Litwin, którego los wraz ze mną rzucił po raz pierwszy na Kaukaz, po powrocie z wyprawy po dzika opowiedział, że się okrutnie tam namęczył, bo przewodnik za nic nie chciał mu w niczym pomóc. — To nic, — powiadał, że sam musiałem ja dłubać dziurę nożykiem w mordzie tej dzikiej świni i sam przez tą dziurę werówkę (sznur) przeciągać, to nic, że sam ja przywiązał koniec tej werówki do siodła, ale kiedy ja ustał taszczyć po tych górach konia za powód i chciał, żeby ten Kabardyniec trochę poprowadził konia, to jak on zakrzyczy na mnie, ten Kabardyniec, jak plunie mnie pod nogi, to ja dziwował

się; czemu on taki zły się zrobił. A potem ja zrozumiał, że on krzyczy, że kaban (dzik) nieczysta, werowka nieczysta, koń nieczysty, powód nieczysta. Bardzo ja zmęczył się ciągnąwszy konia po tych górach i ordynans panów poruczników Ch. też siła zmęczywszy się przez to taszczenie ichniej świni".

———✱———

Zaledwie upłynęło kilka dni po pierwszym moim górskim polowaniu, jak pewnego popołudnia wpadli do mnie bracia Ch., Habisz i podporucznik Ismaił Koszorok, tubylec, kolega pułkowy.

— Jutro polujemy, — oświadczyli z miejsca, — Ismaił nas zaprasza. Dowódca pułku już nam wszystkim pozwolił jechać.

— Naturalnie jadę — odpowiedziałem bez namysłu.

Polowanie miało się odbyć w górach, niedaleko auła (wioski) Koszorokowa, rodzimego auła podporucznika Koszoroka. Od Nalczyka mieliśmy jazdy niecałe 10 kilometrów.

— Na co będziemy polować?

— Na dziki. Jest ich dużo tam. Są i lisy. — objaśnił mi Ismaił.

Pamiętając o lekcji, otrzymanej na poprzednim polowaniu, przyznałem się głośno do obawy jechania ze swoją dubeltówką i oznajmiłem że w braku sztucera wezmę ze sobą kawaleryjski karabinek. Bracia Ch. byli tego samego zdania, że broń śrutowa nie nadaje się do górskich polowań.

Habisz i Ismaił zaczęli dowodzić nam, że w tym wypadku będzie lepsza dubeltówka, bo zapolujemy w terenach gęsto pokrytych krzakami i że nie opolujemy ani jednego miotu, w którym możliwy będzie daleki strzał. Prawda, Ismaił miał jechać ze swoim drylingiem, w którym dwie górne lufy były gwintowane, a dolna dla strzału śrutowego, ale Habisz stanowczo zapewnił trzykrotnie zaklinając na Allacha ,,Wollachi azim, billachi czirim, tallachi azim (dalibóg; dwukrotnie dalibóg, trzykrotnie dalibóg) — pojadę z dubeltówką!".

Przekonał nas. Weźmiemy dubeltówki.

Zazdrościłem trochę Izmaiłowi jego drylinga, bo wydawało mi się, że to najodpowiedniejsza broń dla tutejszych polowań. Jak późniejsze doświadczenie wykazało — rzeczywiście tak jest, o ile chodzi o polowania górskie z naganką lub z gończymi psami, podczas których najwięcej strzela się kulą, — rzadko śrutem.

Nauczeni doświadczeniem pierwszego polowania, bracia Ch. i ja, postanowiliśmy zabrać ze sobą wóz taborowy i naszych ordynansów osobistych.

Nazajutrz, gdy słońce zaledwie ukazało się nad horyzontem, wjeżdżaliśmy do dziedzińca domu Ismaiła. Hobisz nas uprzedził, że zgodnie z ,,adatem" (zwyczajem) ich narodu nie zsiada się z koni zanim gospodarz nie wyjdzie z domu i nie zaprosi do siebie. Nie zdążyliśmy zatrzymać się, gdy w drzwiach domu ukazał się Ismaił.

Zsiedliśmy z koni.

W środku dziedzińca stał suchy pień drzewa wkopany do ziemi, ale korzeniami do góry. Korzenie, dziwacznie powykręcane, z opiłowanymi końcami w taki sposób, że tworzyły nad pniem jakby kopułę, wyglądały trochę niesamowicie. Myślałem, że służą jako wieszaki, ale do czego? W rzeczywistości był to konowiąz. Zarzuciliśmy wodze naszych koni na sterczące w różne strony pokraczne korzenie, za przykładem Habisza strzelby zawiesiliśmy na ścianie domu, bo taki jest ;;adat", że gość, podkreślając swoje pokojowe intencje w stosunku do gospodarza domu, strzelbę zostawia przed wejściem, i weszliśmy do obszernej izby.

Na ścianach zobaczyliśmy kolekcję broni wszelkiego rodzaju, w której tak się kochają narody Kaukazu.

Całe muzeum. Nie była to broń nabywana w celu kolekcjonowania, lecz przekazywana z pokolenia na pokolenie. Odzwierciadlała ona wojenną historię rodu, w którego posiadaniu się znajdowała, a może nie tylko jednego rodu, lecz samego Kaukazu, tego muru pomiędzy Europą a Azją, przez który w swych wędrówkach i wojnach od wieków przedzierały się ludy, pchane do tego bądź walką o byt, bądź ideą walki o Grób Chrystusa. Prastary łuk obok tureckiej długiej strzelby z lejkowatym wylotem lufy, tam prymitywna okrągła tarcza pod drucianą misiurką, stary perski klęcz nad klingą weneckiej roboty...

Był to dom bogatego ;;uzdena" (szlachcica). ale w moich dalszych wędrówkach po górach, nieraz w najbiedniejszej ;;sakli" (chałupie) widywałem broń lub części uzbrojenia godne gablotki muzealnej, o których wartości właściciele tych rzeczy pojęcia nie mieli. Bo i poco? Zawsze była to własność rodowa, którą ;;adat" sprzedawać zabrania.

Nie zdejmując ,,papach" (czapek baranich) zasiedliśmy do czekającego na nas śniadania.

W dużych filiżankach, o pojemności co najmniej głębokiego talerza, podano herbatę, przyrządzoną na sposób kałmucki. Z nieprzyzwyczajenia z trudem ją połykałem, aby tylko nie urazić gościnnego gospodarza. W smaku nic wspólnego ona nie miała z herbatą, do której wszyscy jesteśmy przyzwyczajeni. Nic dziwnego! Przyrządza się ją z herbaty prasowanej, gotowanej w kotle z mlekiem lub śmietanką bawolicy, zaprawionej masłem, pieprzem i solą.

Pierwsze łyki sprawiły mi dużo trudności. Potem poszło łatwiej. Później jeszcze, po spożyciu paru takich śniadań, potrafiłem wlewać w siebie nawet więcej niż jedną filiżankę. Do wszystkiego widać potrzeba zaprawy.

Przy stole towarzyszył nam tylko sędziwy Timbot Koszorok, ojciec Ismaiła. Ismaił stał przez cały czas przy drzwiach, trzymając dłonie wsparte na głowni kindżała, nie wtrącał się do rozmowy i tylko od czasu do czasu, na skinienie ojca, zbliżał się do stołu, aby czymś nam usłużyć. ;;Adat". Nie wolno nigdy synowi usiąść w obecności ojca, zapalić papierosa lub nawet rozpiąć kołnierz ;;beszmeta" (zwierzchnia koszula

z wysokim kołnierzem, zapinanym na małe okrągłe guziki). Gdy w domu są goście obowiązkiem synów jest przysługiwać do stołu.

Śniadanie trwało dość długo i nie prędko skończyło by się, gdyby nie braci Ch. i moje błagalne spojrzenia w kierunku Habisza. Paliła się pod nami podłoga od niecierpliwości wymknięcia się czym prędzej do kniei. Wreszcie, gdy niepospolity apetyt Habisza zdawało się był zaspokojony niemal całą ćwiartką barana, raczył on zlitować się nad nami i dać hasło do powstania.

Gdy już odjechaliśmy od domu Habisz nie wytrzymał i dał nam do zrozumienia, że uczynił przez przyjaźń z nami z siebie ofiarę, bo nie dokończył porządnie śniadania. Pewno miał na myśli nie tkniętą drugą ćwiartkę barana.

Prowadził nas Ismail. Za nami jechał nasz wóz i ordynansi. Za aułem czekali już naganiacze. Było ich z trzydziestu.

Gdy odjechaliśmy zaledwie kilkaset metrów od ostatnich opłotków auła, Ismail zatrzymał pochód i zaproponował zsiąść z koni. Do naszych ordynansów i woźnicy przydzielił jednego z naganiaczy oraz dał mu wskazówki, gdzie mają czekać, a nas poprosił o oddanie koni pod opiekę ordynansów i naganiaczy.

Wydłużyły się nam twarze. Pamiętaliśmy o pierwszym polowaniu górskim, podczas którego przekonaliśmy się, że łatwiej drapać się po górach za pomocą nóg końskich, niż własnych.

Ismail zrozumiał nasze obawy i zapewnił, że po górach łazić nie będziemy, bo tu wszędzie równina, a las jest tak w tych okolicach gęsty, że konie będą nam tylko przeszkadzać.

Dobra równina! — pomyślałem.

Staliśmy bowiem u stóp wzgórza, mniej więcej takiej wysokości jak Gubałówka w Zakopanem. Za tym wzgórzem sterczało jeszcze wyższe, obok wcale nie mniejsze i tak, jak okiem sięgnąć.

Dla Kaukazczyka to miała być równina, — dla naszych, naprawdę równinnych nóg, sprawa przedstawiała się wręcz przeciwnie. Ale wyboru nie było. Poszliśmy.

„Równina" na całej przestrzeni była porośnięta krzakami, przeważnie karłowatego dębu. Krzaki nie wysokie, rzadko przewyższające wzrost człowieka, ale tak gęste, że z trudem przedzieraliśmy się przez nie tam, gdzie ścieżek nie było. Ismail miał słuszność, — konno nie przejechalibyśmy przez te wertepy, albo jeżeli udało by się nam, — to z większym trudem niż na piechotę. W każdym razie konno narobilibyśmy tu sporo niepotrzebnego hałasu.

Wydawało się, że szliśmy do pierwszych stanowisk nieskończenie długo. Zasapaliśmy się porządnie. Nawet Habisz, urodzony w górach, niedwuznacznie sapał bo musiał dźwigać pod górę nie tylko siebie, ale i swój żołądek wraz z ćwiartką barana i innymi składowymi częściami niedawnego śniadania.

Leon Kon

Dok. nast.



Tokowisko cietrzewi — fot. W. Puchalski

Inż. W. ŁATKIEWICZ

Dublet do wydr

Zastukałem... Cicho otwarły się drzwi leśniczówki i kochany szwagier zaspany, w długiej po pięty koszuli, z świecą w ręku, chwiejąc się na nogach stanął przede mną i zapytał: „No co?"... Jadowita i przemarzła złość nieudałych czatów przy przyrębli w noc księżycową o ostrym mrozie, buchnęła: „Psia mać, znowu nic! Już drugą noc od 9-tej do 3-ciej zmarnowana. Idź i ty spać, bo się przewrócisz. Dobrze, że ciepło". Szwagier odburknął: „Masz wódkę, termos, szynkę z dzika, orzechy. Jedz i śpij, jutro pogadamy!" i wskok do łóżka.

Zrzuciłem dachę, strzelbę w kąt, słomiane wysokie papucie z nóg, wziąłem się do kielicha, ale złość nie schodzi z wątroby. Nie dam temu smokowi spać spokojnie:

— Słuchaj Stefan! wczoraj widziałem pełno świeżych tropów, lód w przerębli dwa razy był przebity, nikt w tamtych stronach nie łazi... Żeby choć widzieć, ba strzelić, a nie jak głupi kołek wśród trzcin z księżycem się parać! Już sobie obmyśliłem: Jak przyjdzie z prawej strony, to dopuszczę na kilka kroków od trzcin przed przerębią i „pewniak", 20 kroków. Dacha ciepła, broń dobra, powinna zostać... Kiedy nie przyszła... Stefan słyszysz?:::

Ciche „A...a...a..."

— Pies cię trącał, śpisz, to śpij!...

———✱———

Spałem świetnie, nad ranem majaczyłem, że buchnąłem dwa razy do potwora z prawej strony... a to faktycznie trzasnęły drzwi i kawa ze śmietanką, jak pieczony gołąbek podleciała pod ząbek. To tak zwany „Pętoł" przyniósł śniadanie do łóżka.

Zjadłem, a potem wziąłem jakieś czasopismo leśne, okryłem się lepiej i czytam... Ho! Ho! Jakiś leśnik zrobił pułapkę na pewien gatunek robaka, nazwy nie pomnę, jakaś pogańska; przykleił na drzewie i łapie!... Żeby tak wydrę złowić! I już zaczynam myśleć nad powstałym problemem, gdy wtem wchodzi do pokoju zmarznięty Stefan z konnego objazdu leśnego.

Odpędzam to stworzenie, bo zimnego wiatru napuścił, a on zapytuje:

— Co robisz dzisiaj? Mam dziki, chcesz pojechać, czy wolisz wariackie siedzenie o mrozie. Jest nas czworo w domu, to wieczorem poduczyłbyś nas w brydża, a jak poleziesz na staw, to co ja mam z ciebie? Dzik lepszy i pewniejszy jak wydra!

Może i słusznie tłomaczył, ale dziki już miałem, a wydry nie. Odmówiłem. Do trzech razy sztuka, a potem do Warszawy. Jeszcze próbował tłumaczyć, ale mu rzekłem: — Przyjedziesz do Warszawy, to konno po niej nie będziesz latał, będę ciebie i kogo chcesz w brydża uczył, dziś znowu obejdę teren a wieczorem zobaczymy!

Ubrałem się, wyszedłem obejrzeć, jak tam z pogodą na dzisiejszą wyprawę i zaraz tuż na majdanie znajduję wierzchołem sosny z trzech grubych zrośniętych konarów. Halo! dobra myśl, z tego będzie pyszny fotel na czatach. Obciąć jeden konar, dwa inne przyciąć, wymościć słomą, położyć na lodzie, będzie oparcie; słoma będzie się dobrze trzymać; i z boków będzie oparcie. Do dzieła!! Pomagier Kubuś, gajowy, piła, słoma i zawlekliśmy na staw „królewski tron"...

———✱———

Cisza mroźnej księżycowej nocy, granat nieboskłonu i migotliwe zmrożone gwiazdki w górze, a z prawej i lewej strony bukiety zmarzniętych trzcin i szuwarów. Przede mną otwarta podkowiasto nieduża przestrzeń z przerębią w środku, z tyłu skraj wysokiego lasu o zmarzłej okiści, pode mną tron, a w dali ubielona śniegiem srebrzysta tafla jeziora, nad którą w perspektywie oświetlone okno weneckie... .:...Tam ciepło, tam piją teraz miód i gryzą orzechy, tam kaleczą ideję brydża ...we troje!

A tu?... Znane myśliwskie myśli oczekiwania: cały świat, drobiazgi dziecięce i tragedie życia!... Coś stuknie... Uwaga!... Coś dmuchnie... Uwaga!... Jakiś ruch... Czuj duch! Co chwila przytępione zmysły oczekiwaniem na nowo grają i doszukują się przyczyny, a spotęgowane wyobraźnią stają się udręką nie do zniesienia. To palec boli, to w boku strzyka, a ponad wszystko pytanie... wyjdzie czy nie wyjdzie?

Wtem kroki!... Wszystko w słuch!.:. To idzie ktoś pod lasem z prawej strony, kroki coraz cichsze... I znowu stare myśli... I znowu powstaje problem. Czy talizman szczęścia myśliwskiego zależy od tego czy się widzi jedno czy dwa kolana, a może prawe szczęśliwsze od lewego, a może nie dosyć widzieć, trzeba dotknąć...? Że też ta sprawa nie jest dostatecznie wyjaśniona. Gdyby tak statystykę zaprowadzić, może by odpowiedziała co szczęśliwsze!...

Nagle szelest trzcin... Coś idzie, przesuwa się już... już widać ciemną sylwetkę zwierza... Decyzja powzięta... Ani ruchu... Teraz!! Strzał!! Podskok, kilka szybszych ruchów i... plusk wody w przerębli!... Opuściłem broń. Co teraz.:.? Hubercie drwisz!!...

W tym momencie wysuwa się z bukietu trzcin piękny okaz wydry zdążającej do wody... Strzał i piękny zwierzak leży w ostatnich odruchach na śnieżystym dywanie... Hubercie wybacz!... A potem żal, dlaczego nie dwie!!

Stoję nad przerębią i czekam, czego właściwie... nie wiem. Trudno! Nakładam dachę, strzelbę na szyję, a zwierza pod pachę, papieros w usta i żegnam pole dramatu!

———✱———

Nie na tym koniec!

Powtórzyła się ta sama scena, co poprzedniego wieczora, tylko słowa szwagra inne przy otwieraniu drzwi.

—Na pewno strzelałeś, bo miałem takie wyraźne przeczucie.

Odpowiadam — Tak strzelałem, zabiłem, przyniosłem!

— ...Co? nie może być, przyniosłeś, pokaż!

— Idź zobacz w sionce.

Szwagier waha się, poszedł, przyszedł i śmieje się jak szalony.

— Czego ty się śmiejesz jak warjat?

A on przez śmiech powiada: — Zaraz ci opowiem z czego się śmieję — to mówiąc usiadł na łóżku, obstawił się dębowymi krzesłami i uspokojony powiada: — Zrobiłeś dubleta..." — Zdębiałem. — Skąd wiesz? — A on w śmiechu powiada — Wybacz stary traperze, — tak mnie nazywał — ale mnie strasznie żal było, że odjeżdżasz, nawet nie widząc upragnionego zwierza, tyle trudu na marne. Więc Hala ze starego rękawa zrobiła wydrę, a ja wyuczyłem Kubusia, jak ma ją w przerębli, ciągnąc za sznurek, utopić. Domyślam się, że najpierw strzeliłeś do rękawa, a los szczęśliwy spowodował, że spłoszona twoim strzałem wydra z trzcin wylazła — ta twoja!...

Gromy, pioruny, staropolskie psia krew, stołkami się zabezpieczył!!!::: Rektyfikacja. A może gdyby nie rękaw, może znowu zmarnowany wieczór...

— Bóg z Tobą, daj pyska i coś... zjeść:

W. Łatkiewicz



Czarodziejki zmierzchu wiosennego

WŁ. GRZYBOWSKI

S. O. S.

Czasy powojenne wytworzyły w łowiectwie, tak jak w innych dziedzinach życia, specyficzne stosunki.

Na terenach Województwa Dolnośląskiego rozwinęła się silnie plaga kłusownictwa, jak również w sposób zatrważający rozmnożyły się lisy.

Są rejony, w których zając, bażant lub kura stały się poprostu unikatem; czego nie zniszczyły działania wojenne i nie wytępili kłusownicy, wykańczają systematycznie lisy. Lisy, niejednokrotnie wspaniałe — bo srebrne, które częściowo wypuścili Niemcy w ostatnim popłochu z farm hodowlanych, oraz ich mięszańce — piękne, czarne, podpalane, powstałe ze skrzyżowania.

Doskonałe warunki bytowania lisa stworzyli kłusownicy, zostawiając masę postrzałków, w szczególności sarn (które są najłatwiejszą zdobyczą), bijąc nawet matki od młodych, a te również stawały się łupem lisa, zaś w wielu przypadkach i osadników wiejskich.

Wielkie przestrzenie skalistych ostępów leśnych i górskie ich położenie, szczególnie w strefie granicznej, zapewniają lisom bezpieczne kryjówki, do których w wielu wypadkach dostęp jest zabroniony (strefa graniczna), a do innych „współczesny" myśliwy niezbyt się kwapi, tym bardziej, że skóry, płacone po 1.500.— zł. przez Centralę Skupu Skór, nie pokrywają „trudów" polowania wtedy, kiedy zając daje około 1000.— zł. a sarninę można bardzo często spotkać w stołówkach i zakładach gastronomicznych.

Nierzadko spotkać można żołnierzy polujących z karabinami, a w tych wypadkach interwencja jest bezskuteczna, a czasem nawet mocno niebezpieczna.

Sam byłem świadkiem podobnego spotkania. Polując w jednym z bogatszych w zwierzynę powiatów w pewnej chwili zaskoczeni zostaliśmy przez uzbrojony „po zęby" patrol wojskowy i dowiedzieliśmy się, że na podstawie alarmu ludności miejscowej (polowaliśmy o dobre 15 klm. od najbliższych chot) wyruszyli jako ekspedycja przeciw partyzantom niemieckim.

Po obustronnych wyjaśnieniach rozeszliśmy się, ale po kilkunastu minutach, słysząc silną strzelaninę, sprawdziłem przez lornetkę, że „ekspedycja" strzela

z karabinów i ręcznego K. M. ogniem poprostu zaporowym do wypłoszonego z lasu stadka sarn, bijąc dwie czy trzy sztuki. Stan taki trwa nadal w wielu powiatach.

Nie mniej ważną jest również kwestja nie notowanej w historii łowiectwa ilości „myśliwych". (N. p. powiat Jeleniogórski przy 60.000 ha. powierzchni, wyłączając lasy, liczy 321 strzelb zgłoszonych do tej pory w Pol. Związku Łow. (!)).

Na terenach zachodnich pozostało ponadto sporo broni myśliwskiej ukrytej przez Niemców, a odnalezionej przez ludność polską, zaś wiele jej przywieźli również żołnierze z frontu. To też prawie co drugi mieszkaniec wsi dolnośląskiej zaopatrzył się w strzelbę, mając na widoku łatwość polowania „pod samą chałupą".

Nie znając prawa łowieckiego i czasów ochronnych „myśliwi" strzelali co pod lufę wlazło... i strzelają dalej. Nawet niektórzy ze „starych" myśliwych wyzbyli się w wielu wypadkach etyki łowieckiej.

W tragedji tej groźniejszym od strzelby czynnikiem jest wnykarstwo, zapoczątkowane przez Niemców, a praktykowane na szeroką skalę przez naszych osadników. Ze względu na brak odpowiednich zarządzeń i zakazów ze strony władz administracyjnych, a dozoru ze strony władz bezpieczeństwa, kłusownictwo i wnykarstwo stało się plagą groźniejszą od lisa.

Wołamy ratunku! prosimy o pomoc odnośne władze, wzywamy do czynu kolegów!

Komu leży na sercu odbudowa i zagospodarowanie wyniszczonego wojną kraju, niechaj z całym poświęceniem podejdzie do spraw łowiectwa, które jest częścią potencjału narodowego.

Tępić kłusownictwo i drapieżców! Chronić i hodować! — powinno być hasłem dnia i dewizą prawego myśliwego.

Wł. Grzybowski



Na zapady na Polesiu

WACŁAW KACZYŃSKI

O jastrzębiu gołębiarzu

Wiedząc, jak wielkim szkodnikiem w rewirze łowieckim jest jastrząb - gołębiarz (astur palumbarius), zwany rozmaicie w różnych częściach kraju — kuropatwiarz, kokosznik, kurnik — poleciłem straży leśnej wiosną 1946 r. pilnie wypatrywać gniazd szkodnika, zwłaszcza, gdy stwierdziłem nikły stan drobnej zwierzyny łownej, jak zające i kuropatwy, w lasach kampinoskich i przylegających do lasu najbliższych okolicach.

Ponieważ kilkakrotnie zauważyłem drapieżnika w lasach, byłem przekonany, że brak kuropatw i zajęcy należy przede wszystkim złożyć na karb jastrzębia, który, jak wiadomo, zabija nie tylko dlatego, aby żyć, ale nawet nasycony, morduje dla zaspokojenia krwiożerczego instynktu zabijania.

Straż leśną pouczyłem dokładnie, jak wygląda jastrząb-gołębiarz, że podbrzusze ma jasno-szare, popielatawe, czasami prawie białe, charakterystycznie po-

przecznie prążkowane, zaś z wierzchu upierzenie jego jest jasno-brunatne, koloru mlecznej czekolady.

Wyjaśniłem, że gniazd gołębiarza trzeba szukać w partiach wysokopiennego lasu na dębach, sosnach i ewent. starych brzozach. Chodziło mi o to, aby nie popełniono omyłki, aby zamiast gołębiarza, nie padł ofiarą któryś z pożytecznych jastrzębi, jak myszołów, pustułka i ewent. błotniak.

W początkach czerwca gajowy Biederka zameldował mi, że znalazł gniazdo gołębiarza w lesie, dodając, że w gnieździe muszą już być młode, bo jastrzębie do gniazda dolatują i donoszą żywność.

Po południu tego dnia wraz z leśniczym Grądmanem, uzbrojeni w dubeltówki, udaliśmy się w towarzystwie gajowego na miejsce.

Dzień był jasny, słoneczny — poprzez gęstwinę koron wysokopiennego lasu sosnowego, przebijały się smugi słonecznych promieni, tworząc owe, tak charakterystycznie piękne w lesie, pasma drgającego światła.

Gniazdo jastrzębia zbudowane w rozgałęzieniu wierzchołkowym sosny, rosnącej jakgdyby na małej polance i stąd posiadającej bogatą koronę i silne ugałęzienie, dość trudne było do zauważenia, zwłaszcza, że zewnętrzna konstrukcja gniazda gołębiarza jest naogół niedbale wykonana i składa się z grubych u dołu, a cieńszych u góry suchych gałęzi.

W danym wypadku na pierwszy rzut oka możnaby pomyśleć, patrząc z dołu, że to nie jest gniazdo, a tylko nagromadzenie naturalne w rozwidleniu sosny opadających z wyższych części korony suchych gałęzi i gałązek, które zatrzymały się w dogodnym dla siebie miejscu.

Wszelkie wątpliwości, czy istotnie mamy przed sobą, a raczej nad sobą gniazdo gołębiarza, zostały rozchwiane, bośmy w mchu pod drzewem znaleźli żywe pisklę gołębiarza, pokryte białym puchem i tuż rozrzucone części skorupek jaj.

Zastanowiło nas, dlaczego pisklę z gniazda wypadło, bo przecież gołębiarz nigdy umyślnie nie wyrzuca z gniazda swego potomstwa.

Doszliśmy do wniosku, że prawdopodobnie pisklę, posiadając już dość dobrze rozwinięte szpony, musiało przyczepić się do któregoś z rodziców i przy zmianie, przez nieuwagę, zostało z gniazda wyrwane.

Nie od rzeczy może będzie wspomnieć, że gołębiarze wysiadują jaja na przemian — samica i samiec, zaś na gnieździe z jajami, względnie z małymi pisklętami, dosiadują niezwykle twardo, tak, że rozmowy a nawet strzelanie pod drzewem, gdzie mają gniazdo, nie spędzą gołębiarza z gniazda. Natomiast gołębiarz zawsze się zerwie z gniazda, gdy zastukamy w pień drzewa jakimś patykiem. W ten sposób można zawsze stwierdzić ponad wszelką wątpliwość, że gniazdo należy do gołębiarza. Spłoszony w ten sposób jastrząb wraca wkrótce na gniazdo.

Przy okazji znalezienia gniazda nastręcza się sposobność zniszczenia całej rodziny drapieżnika, należy jednak przy tym odpowiednio postępować, a mianowicie — należy do gniazda strzelać loftkami albo kulą, gdyż śrut, nawet gruby, nie przebije grubszych gałęzi podstawy gniazda.

Mając powyższe względy na uwadze, ustaliliśmy z leśniczym, że on będzie strzelał loftkami w środek gniazda, między konarami w odpowiednim miejscu, natomiast ja, mając gruby śrut, ze strzelbą przygotowaną do strzału, strzelę do ptaka w wypadkr, gdy ewent. postrzelony zerwie się z gniazda. W drzewo nie pukaliśmy, gdyż rozrzucone pod drzewem skorupki jaj, wskazywały, że któryś z dorosłych drapieżników na gnieździe być musi, gdyż piskląt samych nie zostawi.

Leśniczy Grądman strzelił, z gniazda posypały się okruchy drewna, zaś na gnieździe nie zauważyliśmy żadnego ruchu.

Byłem przekonany, że nawet śmiertelnie trafiony jastrząb, jednak w agonii zatrzepoce skrzydłami, względnie podskoczy na gnieździe — w każdym razie, będę mógł widzieć, stojąc z boku, reakcję strzału. A tu — nic — absolutnie nic.

Po wyczekaniu paru minut, w ciągu których gajowy pukał w drzewo, a my, przygotowani do strzału, obserwowaliśmy gniazdo — doszliśmy do wniosku, że prawdopodobnie jastrzębia w gnieździe nie było.

Ale wtedy właśnie, zwabieni odgłosem strzału, nadeszli pracujący w pobliżu robotnicy leśni, a jeden z nich, słysząc nasze niekoniecznie wesołe refleksje, podjął się wejść na drzewo.

Z pewnym wysiłkiem pokonał opór wspinania się po gładkiej strzale sosny, dostał się do gniazda i ku naszej radości — wyrzucił stamtąd dużego jastrzębia, jedno pisklę i dwa do połowy, wyklute jaja z pisklętami.

Jastrząb zabity na miejscu, okazał się gołębiarzem-samicą o niezwykle dużych rozmiarach — skrzydła rozpięte mierzyły 1.20 m. — zaś długość od dzioba do końca ogona 58 cm. Wszystkie pisklęta były przestrzelone i już martwe.

W ten sposób 4 jastrzębie zostały zniszczone, nie licząc piątego, który z gniazda wypadł, co dla gospodarstwa łowieckiego daje wiele dziesiątków zajęcy, kuropatw i innego ptactwa.

Według obliczeń i specjalnych obserwacji ks. Niedbała, para jastrzębi-gołębiarzy, posiadająca dwoje młodych, potrafiła w ciągu 16 dni pożreć: 2 zające, 4 kuropatwy, 7 gołębi dzikich, 5 drozdów, 2 kury domowe, 1 jarząbka, 1 gołębia domowego, 2 dzięcioły, 2 sowy, 2 orzechówki, 2 wiewiórki, a ze szkodliwych 3 sójki i 3 wrony — t. j. razem 36 sztuk.

Dlatego nie ma żadnej przesady w tym, co powiedziałem, że wiele dziesiątków pożytecznych zwierząt tak dla łowiectwa jak dla gospodarstwa leśno-rolnego zostało zachowanych przez zniszczenie gniazda gołębiarza.

Wróćmy jednak do łowów.

Wiedzieliśmy, że za jakiś czas musi przylecieć samiec, aby zluzować samicę, no i ewent. przynieść coś do jedzenia dla piskląt. Postanowiliśmy czekać. Nie upłynęła godzina, gdy w pewnym oddaleniu od gniazda w połowie wysokości drzew szybkim lotem przesunął się gołębiarz-samiec. Musiał nas zauważyć.

Natychmiast zajęliśmy uprzednio wybrane, dobrze ukryte, stanowiska. Niebawem gołębiarz wrócił, tym razem jednak okrążył ponad koronami drzew gniazdo, następnie lot zniżył i zaczął przelatywać na wysokości gniazda, zręcznie wymijając korony drzew. Byłem przekonany, że musiał zauważyć, iż gniazdo jest puste i uszkodzone i żałowałem, że w gnieździe nie zostawiło się piskląt, żeby samiec na gniazdo wrócił.

Po kilku ewolucjach powietrznych jastrzębia w pobliżu gniazda doszedłem do wniosku, że samiec na gniazdo nie usiądzie i aczkolwiek do strzału w locie

warunki były bardzo niedogodne, zdecydowałem się przy najbliższym nawrocie jastrzębia — strzelić.

Strzeliłem — spadło kilka piórek, jastrząb opuścił ze szponów jakiś strzęb mięsa i nagłym niskim lotem między drzewami — znikł.

Zrobiło mi się przykro niewymownie — bo przecież duma własna strzelca - myśliwego, cierpi ogromnie przy każdym pudle, zwłaszcza wobec świadków.

Ale cóż zrobić, pocieszałem się myślą, że chłop strzela i t. d., zaś pudło nie pierwsze — i nie ostatnie, bo przez 6 lat okupacji nie miało się strzelby w ręku i z wprawy się wyszło.

Nie dałem jednak za wygranę, gdyż coś mi mówiło, że jastrząb jeszcze do gniazda wróci, przeto następnego dnia o świcie sam poszedłem pod opisaną jastrzębią sosnę, ukryłem się za dębczakami i jałowcem i zacząłem wyczekiwanie.

Czekałem przeszło 2 godziny bez rezultatu, w końcu przekonany, że widocznie jastrząb już nie wróci, zarzuciłem strzelbę na ramię i miałem zamiar już odejść, jednak w ostatniej chwili poszedłem do drzewa i stuknąłem kawałkiem drewna w pień.

Z gniazda, ku memu zdziwieniu, zerwał się jastrząb. Naturalnie, na strzał już nie było czasu. Czy potem jeszcze jastrząb wrócił na gniazdo, powiedzieć tego nie mogę, gdyż tego dnia musiałem wyjechać na kilka dni.

Przed wyjazdem poleciłem gniazdo obserwować, gajowy jednak już więcej gołębiarza nie widział i wogóle w najbliższej okolicy nie widziano gołębiarza.

Gdybym się spodziewał, że samiec, pomimo że gniazdo było puste, do gniazda wróci i będzie twardo dosiadywał, zastosowałbym wypróbowany strzał loftkami do gniazda i w ten sposób zostałaby zlikwidowana cała rodzina drapieżnika.

Dla myśliwego, miłośnika przyrody, przy sposobności wyżej opisanego polowania nasuwają się ciekawe spostrzeżenia z dziedziny zwyczajów i psychologii jastrzębia.

Podstawowe prawo przyrody — prawo zachowania gatunku — w tym wypadku ujawniło się w sposób niezmiernie plastyczny i jaskrawy.

A więc jastrząb-samiec, spłoszony strzałem, wiedziony jednak nieodpartym nakazem przyrody, wrócił do gniazda, prawdopodobnie już o zmroku, zwalczając w sobie obawę o własne życie, jednak pełen niepokoju o swoje potomstwo i o samkę, którą trzeba koniecznie zmienić przy końcowym wysiadywaniu jaj.

Wrócił więc, gniazdo zastał puste, nie mógł zrozumieć co się stało, a może tego nie analizował, jednak siadł na gnieździe, bo tak czynił od wielu dni, bo tak mu nakazywało prawo przyrody.

Zazwyczaj o świcie wylatywał na łowy, bo nad wieczorem zmieniał samkę, która wylatywała na żer, a o zmroku wracała do gniazda.

Ponieważ samki nie było, instynkt prawa przyrody nie pozwalał mu na opuszczenie gniazda i pozostawienie go bez opieki, a więc pomimo, że był głodny, siedział na gnieździe.

Osobiste bezpieczeństwo i głód ustąpiły przed najwyższym prawem zachowania gatunku.

Nigdy jednak nie spodziewałem się, że tak długo i tak cierpliwie potrafi samiec tkwić na opustoszałym gnieździe.

WACŁAW KACZYŃSKI



Gniazdo jastrzębia gołębiarza fot. W. Puchalski

MIECZYSŁAW MNISZEK-TCHÓRZNICKI

Prasa codzienna a łowiectwo

Od pewnego czasu w prasie ukazują się coraz częściej wzmianki o łowiectwie. Nas myśliwych cieszy zainteresowanie się społeczeństwa tą zapoznaną gałęzią gospodarki narodowej, ale mamy tu pewne zastrzeżenia. Każda taka wzmianka przynosiła mniej lub więcej sensacyjne wiadomości, najczęściej niezgodne ze stanem faktycznym.

Weźmy kilka przykładów:

W „Gazecie Ludowej" z dnia 20. II. 1947 znajduje się artykuł p. t. „Siedem lat bez polowania". Zamierzenia autora były dobre ale rezultat... Artykuł ten roi się od błędów i nieścisłości.

Autor pisze o szkodnikach rolnych, jakimi według niego są „dziki i zające, lisy i borsuki". Czyżby zając i borsuk byli szkodnikami rolnymi? Wiemy coprawda, że w szkółkach drzew owocowych zając może poczynić pewne szkody, ale też wiemy, że szkółki takie są zwykle ogrodzone, a to w zupełności wystarcza, aby zające się tam nie dostały. Borsuków jest tak mało, że wogóle jako szkodniki nie mogą być brane pod uwagę.

Jeśli chodzi o lisy, to tu alarm mogą jedynie podnieść myśliwi, ale nigdy rolnicy, zwłaszcza teraz w dobie klęski myszy. Lis bowiem i myszołów, pustułki i wrony zapewno skuteczniej przyczyniąs się do wytępienia myszy, niż trutki, zwykle fałszywie stosowane, które więcej szkody czynią kuropatwom i resztkom bażantów niż myszom. Trutki te winny być bowiem wstrzykiwane w nory, a nie rozrzucane po polach. Niech jednak znajdzie się ktoś, kto w burzanach odszuka wyloty nory.

Wreszcie dziki. Prasa cała przepełniona jest alarmującymi wiadomościami o fantastycznych ilościach dzików. My, myśliwi możemy coś o tym powiedzieć. Dzików jest sporo, o 20—30 procent więcej niż przed wojną, ale to jeszcze nie klęska. Trzeba tylko zdać sobie jasno sprawę z faktycznego stanu rzeczy. Przed wojną dziki miały swoje ostoje w większych kompleksach lasów. Wojna i rozwielmożnione kłusownictwo rozpędziło dziki, tak że dziś prawie wszędzie zwierzyna ta jest spotykana. Dziki i przed wojną czyniły szkody, ale ponieważ wszystkie pola były uprawiane, nie dawały się one tak strasznie we znaki, jak dziś, kiedy, zwłaszcza na ziemiach odzyskanych, wiele pól leży jeszcze odłogiem. Nic więc dziwnego, że małe pólko kartofli czy owsa ściąga dziki ze wszystkich okolicznych lasów. Stąd nadmierne alarmy a szkody w sumie dla gospodarstwa rolnego — drobne. Nadmierne, gdyż wiele polując, nie spotykamy dziś ilości dzików, o jakich w prasie czytamy.

Przed kilku dniami prasę obiegła wieść o dużych ilościach wilków w okolicy Pszczyny. Rzekomo miały się rzucać na rowerzystów. Wypadek ten nie jest również tak straszny, gdyż może był tylko pojedynczy i jedynie jako skutek ostrej, długotrwałej zimy. Przypominam, że w zimie 1928-29 wilki były zabijane w okolicach, gdzie od lat ich nie widziano (Siedleckie i Puławy). Wiemy również z własnego doświadczenia, że wilków jest bardzo mało. Niewielka ich ilość znajdująca się w Białowieży jest znacznie mniejsza niż była przed wojną. A przecież Białowieża była ich największą ostoją.

W „Życiu Warszawy" z dnia 9. III. 1947 czytamy wzmiankę, że na terenie woj. olsztyńskiego żyje około 100 łosi. Jakżeż bardzo my myśliwi cieszylibyśmy się z tego! Niestety. Pomiędzy borami Pomorza wschodniego a Puszczą Augustowską błąka się tylko trzy sztuki rzadkich tych zwierząt.

W omawianym wyżej artykule „Gazety Ludowej" z dn. 20. II. 1947 autor poruszył może rzecz najistotniejszą, ale znów niezbyt ścisłą. Pisze on tak:

„Najważniejszą przyczyną rozmnożenia się dziczyzny jest zawieszenie polowań w ciągu 7-miu lat okupacji i dodatkowo w powojennym okresie. Wszakże dopiero od roku rozpoczęły narazie nikły a raczej nijaki żywot legalnie organizacje łowieckie."

To było napisane w lutym 1947 roku, gdy tymczasem już w listopadzie 1944 jeszcze w Lublinie restytuowany został Polski Związek Łowiecki. Już w lipcu 1945 został przeniesiony do Warszawy, a w listopadzie odbyło się pierwsze po wojnie Walne Zgromadzenie. W lutym 1946, a więc w tym czasie, o którym autor pisze, Związek liczył ca 13 tysięcy członków. Dziś liczy około 23 tysiące, wobec 11.500 członków przed wojną. Dowodzi to żywotności Związku i zrozumienia spraw łowieckich przez ogół myśliwych.

Ponadto obecnie istnieje już wiele Kółek Łowieckich, które dążą do zaprowadzenia racjonalnej gospodarki łowieckiej na terenach wydzierżawionych.

Polski Związek Łowiecki, będący pewnego rodzaju samorządem na odcinku łowieckim, powołał do życia szereg komisji, których zadaniem jest uregulowanie spraw łowieckich pod względem prawnym, gospodarczym, fachowym i ekonomicznym.

W każdym województwie działa Wojewódzka, w każdym powiecie — Powiatowa Rada Łowiecka. Gdzież więc tu może być mowa o „nikłym, a raczej nijakim żywocie legalnych organizacji łowieckich".

Polski Związek Łowiecki zdaje sobie doskonale sprawę z tego, jak wiele jest jeszcze do zrobienia, ale osiągnięcia już uzyskane stanowią poważny wkład pracy i świadczą o wielkiej aktualności zagadnień łowieckich.

Dzięki interwencji Polskiego Związku Łowieckiego władze państwowe wydały cały szereg okólników i rozkazów, z których wymienić należy w pierwszym rzędzie Rozkaz Nr. 148 Marszałka Żymierskiego, Rozkaz Nr. 47 Ministra Bezpieczeństwa Publicznego, Rozkaz Nr. 71 Głównego Komendanta Milicji Obywatelskiej i t. d. Uzyskaliśmy uregulowanie trybu postępowania przy otrzymywaniu pozwoleń na broń myśliwską, powołaliśmy do życia „Spółdzielnię Jedność Łowiecka", której celem jest zaopatrywanie myśliwych w broń i amunicję, wydajemy organ „Łowiec Polski", w najbliższym czasie ukażą się dwa wydawnictwa książkowe. Czyż te fakty mówią o „nijakim" żywocie naszej organizacji?

Doprowadziliśmy do tego, że zarówno Władze Państwowe, jak i myśliwi doceniają wartość zagadnień łowieckich. Pierwsze dały wyraz temu powołując Wydział Łowiectwa w Ministerstwie Leśnictwa i Inspektorat Łowiecki w Ministerstwie Rolnictwa i Reform Rolnych, drudzy przez masowe zapisywanie się do Związku.

Ale wysiłki nasze nie dadzą tego wyniku, jakiego się spodziewamy, jeżeli całe społeczeństwo nie zrozumie, że racjonalne łowiectwo to nie zwykła rozrywka, ale przede wszystkim wzbogacenie całego społeczeństwa. Nie wolno nikomu lekceważyć poważnych dochodów, jakie dać może państwu i społeczeństwu racjonalnie prowadzona gospodarka łowiecka w zwierzynie żywej i bitej, w skórach, szerści i rogach, we wpływach z opłat i czynszów dzierżawnych, z zakupu broni, amunicji i sprzętu myśliwskiego, z utrzymania straży łowieckiej, naganiaczy i t. p.

I dlatego zwracamy się z apelem do całego społeczeństwa:

Walczcie z kłusownictwem, jako szkodnictwem społecznym, współpracujcie z organami Polskiego Związku Łowieckiego, starajcie się poznać postulaty polskiego łowiectwa, a przede wszystkim kochajcie przyrodę. Wtedy łowiectwo polskie dorówna łowiectwu innych krajów o wysokiej kulturze, lasy i pola nasze staną się jak przed wojną pełne zwierzyny i będą największą atrakcją cudzoziemskich turystów.

M. MNISZEK TCHORZNICKI



mgr. JAN MARCHLEWSKI

Zwierzyna łowna na wyspach brytyjskich

Brian Vesey - Fitzgerald: BRITISH GAME, Londyn 1946, 240 str., 28 ilustracji barwnych, 81 fotografii.

Piękna książka o zwierzynie łownej Anglii napisana jest przez myśliwego - przyrodnika, redaktora czasopisma łowieckiego „The Field", jednego z czołowych myśliwskich pism angielskich. We wstępie, napisanym bardzo interesująco, autor daje krótki historyczny rys rozwoju łowiectwa na wyspach brytyjskich, dużo miejsca poświęcając sokolnictwu łącznie z polowaniem z jastrzębiem gołębiarzem, który obecnie nie gnieździ się już w Anglii. Przypadkowe i bardzo rzadkie pojawienie się tego ptaka jest sensacją notowaną w dziennikach. Ostatnie gnieżdżenie się gołębiarza na wyspach należy przyjąć na rok 1893. Danych o początkach ochrony i hodowli zwierzyny dla celów myśliwskich doszukać się dosyć trudno. Wspomina o tym literatura z roku 1760. W roku 1831 Parlament uchwalił t. zw. „Game Act." dotyczący ochrony zwierzyny łownej. Ustawa ta wprowadza także płatne licencje na posiadanie broni i polowanie. Z pewną dozą sarkazmu autor wyjaśnia, że do zwierzyny łownej ustawa zalicza tylko zające, bażanty, pardwy (grousy), cietrzewie i dropie (obecnie wymarłe) oraz zwierzynę „wrzosowisk i bagien" który to termin jest oczywiście zupełnie zagadkowy. Natomiast do zwierzyny łownej nie zalicza się słonek, kszyków i dubeltów, przepiórek, derkaczy, królików, jeleni, łabędzi, gęsi, kaczek i głuszczów, jakkolwiek do polowania na nie potrzebna jest licencja. Ochronę ostatnio wymienionych gatunków określa osobna ustawa o ochronie ptaków dzikich. Jelenie, jakkolwiek nie są zwierzyną w zrozumieniu ustawy o licencjach, są nią jednak w zrozumieniu ustawy rolnej o szkodach wyrządzonych przez zwierzynę. Zające (które są zwierzyną) i króliki (które nią nie są), są znowu wspólnie wymieniane w innej ustawie o zwierzynie płowej. W Anglii i Walii nie wolno polować na pardwy, bażanty i kuropatwy w niedzielę, zaś na bażanty i kuropatwy w dzień Bożego Narodzenia. Natomiast cietrzewie tego przywileju nie posiadają. Autor zaznacza, że mógłby jeszcze wiele ciekawych rzeczy napisać o wymienionych ustawach, które nadal są prawomocne.

W dalszych ustępach autor zajmuje się ptakami łownymi Anglii. Omawia więc pardwę szkocką w obydwu podgatunkach (Lagopus scoticus scoticus) Lath. i Lagopus scoticus hibernicus (Kleinschmidt), zamieszkujących Szkocję i Irlandję, następnie pardwę górską (Lagopus mutus millaisi (Hartert), zamieszkującą Szkocję północną oraz całe koło podbiegunowe, Jako relikt polodowcowy, jak wiemy, ptak ten występuje w Alpach, Pirenejach, w górach Azji i na głównej wyspie Japonji. Cietrzew, (Lyrurus tetrix brittanicus (Whiterby) w wielu okolicach gwałtownie wymiera. Głuszec wyginął zupełnie w roku 1760 (dlatego zapewne pominięto go w ustawie z r. 1831), obecnie jednak istnieje w znacznej ilości, rozmnożony z kilkunastu okazów sprowadzonych ze Szwecji w r. 1888. Jest rzeczą ciekawą, że obecny głuszec szkocki zmienił swe zwykłe zwyczaje i utrzymuje się w mniejszych lasach mieszanych wylatując nawet na pola na znaczną od lasu odległość. Załączona fotografia koguta siedzącego na kupie snopka owsa robi dość niezwykłe wrażenie. W dalszym ciągu omawia autor bażanta, kuropatwę, kuropatwę czerwoną (import), przepiórkę, która w Anglii należy do rzadkości, łabędzie, gęsi i kaczki oraz kszyka, kuliga, słonkę i siewkę złotą. Ze zwierzyny płowej jelenia, daniela i sarnę.

W ustępie zatytułowanym „Wrogowie zwierzyny" autor zaznacza wyraźnie, że unika wyrazu „szkodniki" (vermin), gdyż ma do niego awersję („a recteddiselike"). Nie mamy bowiem prawa nazywać szkodnikami zwierząt dlatego tylko, że natura każe im żywić się tymi samymi zwierzętami, które są dla nas źródłem myśliwskich przyjemności. Na początku ustępu zaznacza autor, że na wyspach spotyka się 33 gatunki ptaków, które można podciągnąć pod nazwę ptaków drapieżnych. Pewne z nich strzelane są o każdej porze bez opamiętania z wielką szkodą dla rolnictwa, inne są strzelane często, jeszcze inne niekiedy. Następnie podaje ich wykaz z omówieniem każdego gatunku. Z omówień tych wynika, że sprawa ptactwa drapieżnego wałkuje się tam do znudzenia, tak samo jak i u nas. Lepiej jednak może ta sprawa tam wygląda skoro się zważy, że redaktor najpoważniejszego pisma łowieckiego z pełnym zrozumieniem myśliwego - przyrodnika staje bezwzględnie w obronie myszołowów (zresztą obecnie ustawowo chronionych), pustułek i rzadkich drapieżców skrzydlatych, nie mówiąc już o sowach Jako jedyną drogę do poprawy stosunków na lepsze, podaje autor ustawiczną propagandę wśród młodych myśliwych.

Nie można pominąć strony ilustracyjnej omawianej książki. Reprodukcje starych malowideł z roku 1820, reprodukcje obrazów współczesnych animalistów i fotografie nie pozostawiają nic do życzenia.

JAN MARCHLEWSKI

Nasza pierwsza broszura propagandowa

„Dlaczego mamy chronić zwierzynę łowną" — *Mieczysław Mniszek - Tchorznicki,* 1947 r., str. 26.

Nakładem Polskiego Związku Łowieckiego i przy zasiłku pieniężnym Ministerstwa Oświaty ukazała się w druku wymieniona wyżej broszura, pierwsza z zamierzonych wydawnictw popularnych. Wobec przerażającego, w wyniku wojny, spadku etyki i poszanowania przepisów prawnych wśród mas szerokich, zniszczenia szerzone w stanie naszego zwierzostanu przez złą wolę i ciemnotę zmusiły Polski Związek Łowiecki do wystąpienia o pomoc w walce z tym zjawiskiem nietylko do władz państwowych, ale i do całego społeczeństwa.

Już w połowie roku ubiegłego Polski Związek Łowiecki zamówił u kol. Mniszek-Tchórznickiego broszurę p. t. „Dlaczego mamy chronić zwierzynę łowną" i wydał ją na razie w 500 egz. odbitek na powielaczu, rozsyłając ją do Kuratoriów Szkolnych i innych placówek współpracujących z leśnictwem.

Otrzymanie zasiłku od Ministerstwa Oświaty w kwocie 50 tys. zł. pozwoliło na ogłoszenie jej drukiem w ilości 10 tys. egz., które są obecnie rozsyłane: do Kuratoriów Szkolnych, Ligi Ochrony Przyrody, Państwowej Rady Ochrony Przyrody, Woj. Rad Łowieckich, „Społem", Milicji, Samopomocy Chłopskiej oraz do wszystkich Ministerstw i Dyrekcji Lasów Państwowych.

Cel wydawnictwa jest jasny — chodzi o uświadomienie szerokiego ogółu społeczeństwa — po przez szkoły i prowincjonalne placówki kulturalne — o konieczności natychmiastowego przystąpienia do roztoczenia opieki nad zwierzyną łowną, póki jeszcze czas, pókiśmy jeszcze nie zmarnowali tego odcinka bogactwa narodowego, nie zubożyli naszych spadkobierców nie tylko w źródło dochodu, ale i w źródło najpiękniejszych wzruszeń na tle obcowania z przyrodą, a sobie nie wystawili świadectwa barbarzyństwa i spadku kultury i etyki.

Czytelników „Łowca Polskiego" nie potrzebujemy pouczać w tym względzie. To też tylko dla informacji podaję poruszone w broszurze momenty. A więc, po krótkim wstępie, charakteryzującym przemiany, którym uległo łowiectwo na przestrzeni dziejów, autor podnosi czynnik gospodarczy łowiectwa, oblicza wpływy pieniężne, które osiąga kraj z tego odcinka życia narodowego, wyjaśnia na przykładach pożytek, który przysparzają rolnictwu, ogrodnictwu i leśnictwu zwierzęta łowne, zwłaszcza z pomiędzy drapieżników skrzydlatych, wskazuje na szkody, które wyrządza w zwierzostanie kłusownik, wnykarz, sidlarz, oraz na barbarzyństwo tych środków w stosunku do zwierząt, podkreśla jak na tę samą drogę wchodzi podświadomie młodzież, wybierając jaja i pisklęta z gniazd.

Jako przeciwstawienie tym instynktom niszczycielskim podaje autor radość i zadowolenie osiągane w znacznie wyższym stopniu przez otoczenie zwierząt i ptaków opieką, przez ich dokarmianie w okresie zimowym, przez obserwowanie ich życia. A kończy broszurę hymnem na cześć przyrody, wskazuje na rozkosz obcowania z nią, na odpoczynek ciała i ducha, jaki człowiekowi, zmęczonemu wyczerpującym trybem życia codziennego, daje możność ucieczki do lasów, pól i gór, w których tętni życie ich mieszkańców — uratowanych od zagłady.

JÓZEF GIEYSZTOR

Od Ośrodka Szkoleniowego w Goraju (pow. Czarnków) otrzymaliśmy artykuł o wyżle wszechstronnym, hodowlę którego Ośrodek postawił za cel główny. Zamieszczamy go poniżej, jako przyczynek do aktualnej dziś sprawy odbudowy krajowej hodowli psów myśliwskich.

Wyżeł wszechstronny

Zadania wyżła w zawodzie łowieckim, jako współpracownika racjonalnego myśliwego i „prawej ręki" jego, są następujące:

1) W łowisku i w życiu poza służbowym, przy lewym boku pana za nogą uważnie chodzić, by wszelkie rozkazy przyjąć i dobrze je wykonać.

2) W czasie polowania w polu, na rozkaz „allez" albo „cherche" szukać zwierzyny lotnej, sprawnie i szybko pracować, okładać w prawo i w lewo pola i zagony, w miarę potrzeby i kilku myśliwych obsłużyć, wietrzyć, dobrze wystawiać i dociągać pewnie, w razie strzału czekać bez gorączkowania się, a dopiero na rozkaz „apporte" przynieść ubitą zwierzynę, o ile zbarczona — za tropem zgubę wypracować, sztukę odszukać, w końcu przynieść panu, przysiąść i oddać do ręki.

   Sarny, zające i zwierzynę niełowną, respektować i nie płoszyć.

3) Wszelkie wrogie dla użytkowej zwierzyny drapieżniki, włochate i inne, wspólnie z racjonalnym myśliwym i panem swym zwalczać, pomagając do odszukania ich w kryjówkach podziemnych, kamionkach, w krzakach, na drzewie i t. d. wystawianiem, osadzaniem, oszczekiwaniem i energicznym dławieniem.

4) Na błotach i wodach pilnie pracować, bobrować, płoszyć, wystawiać i naganiać ptactwo błotne myśliwemu, zestrzelone odszukiwać w szuwarach, zbarczone nawet z pod wody wyłapywać, a przy dalekich strzałach na głęboką wodę popłynąć, przyaportować i przepisowo, — bez odkładania na brzegu, by ewentualnie jeszcze żywa kaczka nie uszła, — oddać do rąk pana.

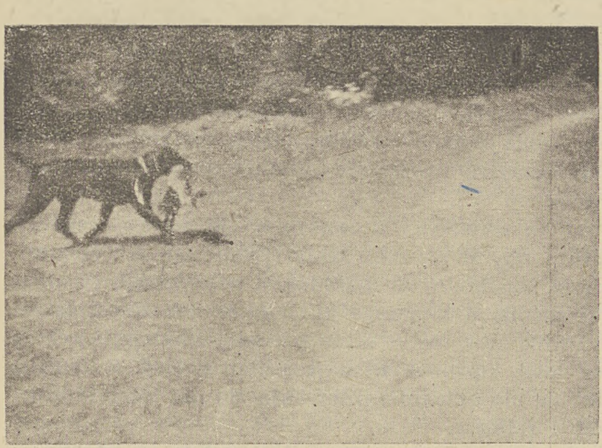
5) W czasie polowania na sarniaka z podchodzeniem, lub na inną grubą zwierzynę, iść zawsze za lewą nogą myśliwego i to luzem lub na otoku, unikając płoszenia bezszelestnym i milczącym

zachowaniem się. W czasie zajęcia stanowiska lub ambony przy panu skromnie siedzieć, a najwyżej wzrokiem lub nosem zwrócić uwagę na nadchodzącego zwierza. Na strzał nie zwracać uwagi, razem z myśliwym odczekać, po pewnym czasie, do miejsca gdzie zwierz był, na strzał podejść, by stwierdzić ewentualną działalność kuli, a w razie potrzeby, ze spokojem postrzałka wypracować, na sfarbowanym tropie go odnaleźć, jak potrzeba zdławić, osadzić, oszczekać, a tym samym pana przywołać, żeby ten żyjącego jeszcze zwierza kordelasem, nożem lub strzałem dobił, skracając niepotrzebne męczarnie po postrzeleniu. O ile nie umie oszczekiwać, będzie pomagał milczkiem luzem lub na otoku.

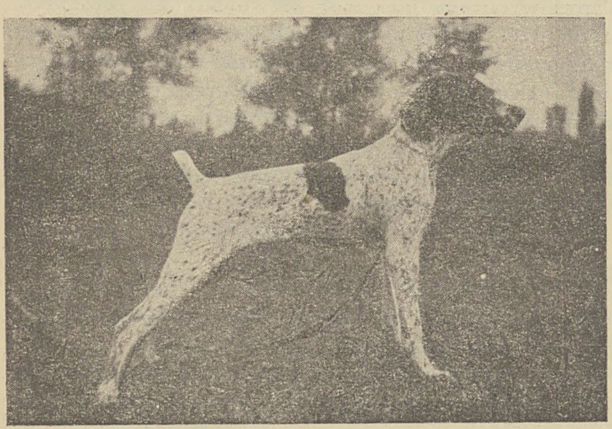
6) Polując w lesie i w kniei lub gąszczach na zwierzynę drobną ewentualnie drapieżną, buszować zawzięcie, nie bacząc na przeszkody, wypierać i napędzać głośno lub milczkiem każdego zwierza myśliwym. Postrzałki, zguby i ubite sztuki odnajdywać i przynosić.

7) W czasie naganki i pędzeń leśnych oraz polnych, a także polowań z ławą, trwać przy nodze pana, by jedynie na rozkaz drobną ubitą zwierzynę aportować, a zguby na żądanie wynaleźć, przynieść i oddać bez względu na przeszkody, które w łowisku się znajdują.

8) W razie gdy myśliwy pozostawi wyżła swego w lesie czy polu, przy plecaku, torbie i t. p. by samemu podejść zwierza i ubić go, wtedy na rozkaz przywarować tak długo, aż ten wróci i dalszy rozkaz wyda.



Wyżeł ostrowłosy



Wyżeł gładkowłosy.

9) Jako niezbędny towarzysz w łowisku, pilnować wszelkich pozostawionych do stróżowania sprzętów myśliwskich, oraz ubitej zwierzyny i to na ziemi czy w pojazdach, a w razie potrzeby energicznie reagować.

10) Przy zwalczaniu wszelkiego rodzaju kłusownictwa, wnykarstwa i tym podobnych przestępstw, zawsze i wszędzie stać panu swemu w obronie, w wyśledzeniu złoczyńcy pomagać, w życiu prywatnym domowym być wiernym przyjacielem i stróżem pana i jego domu.

Tak wyglądają pokrótce ujęte zadania, jakim powinien sprostać pies, noszący miano wyżła, a hodowca winien je mieć na oku, by psy wychodzące z jego zagrody, posiadały wszystkie te piękne cechy i zalety, odziedziczone we krwi po przodkach i by mogły je w niespaczonej formie przekazać swoim potomkom.

Przy tej okazji pozwolę sobie opisać sposób prowadzenia gospodarki Państwowej Hodowli Psa Myśliwskiego w Goraju przy Leśnym Ośrodku Szkoleniowym.

W celach rejestracyjnych oraz wpisu do księgi rozpłodowej, dla prowadzenia owocnej i racjonalnej hodowli, a tym samym do skoncentrowania materiału rozpłodowego, klasyfikuje się wyżła następująco:

I. Importy z rodowodem, premiowane za granicą i w kraju na konkursach w myśl istniejącego regulaminu, 1-ą, 2-ą, lub 3-ą nagrodą.



Gryffon.



Zagroda z wybiegiem.

fot. M. Siudzik

II. Importy z rodowodem, nienagradzane za granicą i w kraju, mogą być rejestrowane po zdobyciu nagrody na konkursie jesiennym, dla „mistrzów“, a do księgi rozpłodowej — o ile potomstwo wypadnie również dobrze.
III. Produkt krajowy z rodowodem i nagrodami wg. kl. 1-ej.
IV. Produkt krajowy bez rodowodu, lecz nagrodzony w konkursach jesiennych I, II, lub III nagrodą, czyli uprawniony do rejestru, a do księgi hodowlano-rozpłodowej po zbadaniu potomstwa.

Ponieważ wojna przeszkodziła nam w kontynuowaniu wyżej wymienionego programu, pozostała nam jedyna droga wyjścia: przy wybieraniu wyżlicy na matkę rozpłodową, należy przeznaczyć ją do tego po ukończonej tresurze, po ukończonych 1—2 pól praktycznie, wg. zasad szkoleniowych, czyli po ukończonych 2½ do 3 latach. To samo dotyczy rozpłodowca. Tak jedna jak i druga strona nie może posiadać odziedziczonych wad i cech szkodliwych.

Psów, które się do rozpłodu nie nadają, nie wolno wypuszczać w świat, chociażby za tanie pieniądze, lecz usuwa się je przez uśmiercenie.

Gdy wykazują jednostronność w pracy łowieckiej, unieszkodliwia się je przez kastrację.

Matce rozpłodowej wolno jest mieć miot raz do roku, pozostawiając jej 4 do 6 sztuk młodych, a z wiekiem lat 7, matkę tą nie każe się więcej pokrywać, by mieć potomstwo naprawdę zdrowe i silne.

W razie przejścia ciężkich chorób, jak nosówka, należy by wyżlica wypoczęła i ostatecznie wyzdrowiała.

Rozpłodowiec (samiec) winien mieć również wypoczynek po ciężkich przejściach.

Przy matkach pozostawia się szczenięta w ciągu 8 tygodni, odsadza się je następnie do wspólnego kojca dla małych i zaraz dostają numer przyczepiony do karku łańcuszkiem. Numer ten jest numerem danego wyżlaka w rejestrze, w którym pozostaje nadal by stworzyć numer rodowodu w „Państwowej Hodowli Psa Myśliwskiego“.

Zdjęcia materiału rozpłodowego obecnego i przyszłego załączam.

Marian Siudzik
hodowca i trener Ośrodka

Chłopi-myśliwi

I.

Otrzymaliśmy bardzo miły list od chłopa z Kielecczyzny, Władysława Janusa, gospodarza wsi Niewiatrowice pow. Pinczów.

Autor jest członkiem Polskiego Związku Łowieckiego i uczestnikiem Kółka Myśliwskiego, w którym jest zastępcą gospodarza. Jakim zaś jest stosunek Janusa do łowiectwa, o tym świadczą ustępy z jego listu, które podajemy w streszczeniu.

Na każde 10 ha terenów, należących do gminy Działoszyce, było w październiku 1946 roku przeciętnie 1 zając, 3 kuropatwy i 4 lisy. W końcu stycznia r. b. 1 zając przypadł na 40 ha, 1 kuropatwa na 50 ha, tylko stan lisów pozostał bez zmiany.

Zastanawiając się nad przyczyną tego olbrzymiego ubytku zwierzyny, Janus stwierdza, że sprawcami jego byli: kłusownicy, włóczące się psy i koty oraz lisy i drapieżniki skrzydlate. To też wysuwa on trzy przykazania, które powinny obowiązywać każdego myśliwego.

1) Walka z kłusownikami i wnykarzami, dla których nie istnieją ustawy łowieckie i czasy ochronne;
2) Tępienie chodzących samopas psów i kotów — tych największych wrogów młodej zwierzyny;
3) Wzmożony odstrzał lisów, rozmnożonych ponad miarę oraz jastrzębi, siwych wron i srok.

Ale dla wykonania tych przykazań brak głównego środka — broni myśliwskiej. Autor posiada strzelbę, ale nie ma zezwolenia urzędowego pomimo starań i należenia do Kółka Myśliwskiego i do P. Z. Ł. Nie chodzi mu o polowanie, bo wobec katastrofalnego stanu zwierzyny uważa, że polowania powinny być zawieszone na parę lat. Ale widzi konieczność prawnego posiadania broni do walki z kłusownikami i drapieżnikami czworonogimi i skrzydlatymi, jeżeli nie chcemy dopuścić do całkowitego wyniszczenia zwierzyny. To też Janus proponuje do czasu, kiedy warunki pozwolą na udostępnienie broni myśliwskiej dla wszystkich myśliwych, wyjednać od władz bezpieczeństwa zgodę na przydział przynajmniej 3 sztuk broni na każde Kółko Myśliwskie specjalnie dla walki z kłusownikami i dla odstrzału szkodników.

Autor przytacza drastyczny przykład, kiedy udało mu się przyłapać kłusownika z zającem i ze złapanymi na sidła kuropatwami i musiał go puścić bezkarnie, bo ten mu groził rewolwerem, a gospodarz broni nie posiadał.

II.

Drugi list pochodzi od chłopa z pod Zbąszynia, pow. Nowy Tomyśl, Leonarda Dreczkowskiego. I ten wykazuje takąż dbałość o zachowanie zwierzyny, co i chłop z Kielecczyzny i wskazuje na takie same bolączki chwili obecnej.

„Stan zwierzyny drobnej jest w naszym powiecie bardzo zły. Z powodu grubo zaśnieżonych pól kuropatwy podchodzą do ogrodów i zabudowań, szukając pożywienia. A to naraża je na duże niebezpieczeństwo, co uwidocznia się w coraz bardziej zmniejszającej się ich ilości. Również złym jest stan zajęcy. Zwierzyną nikt się nie opiekuje, interesują się nią tylko kłusownicy i sidlarze.

W powiecie Nowy Tomyśl powstało przed półtora rokiem kilka Kółek Myśliwskich, ale ponieważ nikt z myśliwych nie otrzymał zezwolenia na posiadanie broni, przeto działalność ich zamiera. W związku z tym wstrzymane zostało wydzierżawianie obwodów łowieckich — tworzenie których nie jest uregulowane nowymi przepisami — a w wyniku dozór nad terenami nie istnieje i zwierzyna ginie zarówno z braku dożywiania, jak i z powodu kłusowników, którym bez broni przeciwstawić się nie można“.

III.

Z pod Sokołowa Podlaskiego pisze do nas Kazimierz Andrzejewski, zdemobilizowany sierżant:

„Będąc w wojsku miałem możność spotkania się z pismem „Łowiec Polski“. Teraz jestem zdemobilizowany, ale że jestem miłośnikiem wszystkiego, co jest związane z myślistwem, proszę o wysyłanie mi „Łowca

Polskiego" i powiadomienie ile prenumerata kosztuje oraz co trzeba zrobić, aby wstąpić do „Polskiego Związku Łowieckiego".

„W mojej okolicy leżą setki hektarów terenów łowieckich, których nikt nie dzierżawi i na których polują lisy i jastrzębie. Biedne kuropatwy grzebią beznadziejnie w półmetrowej powłoce śniegu, chcąc dostać jakieś pożywienie — ale napróżno. Po przyjeździe zacząłem bliższe stadka podkarmiać i teraz mam pod samym domem w sadzie stale miłych gości".

Podajemy te głosy, otrzymane w jednym tygodniu z naszej wsi. Jeżeli podobne ustosunkowanie się do łowiectwa jest wyrazem powszechnym wśród naszych chłopów — możemy o przyszłość zwierzyny łowieckiej być spokojni.

J. G.

Wobec spustoszeń, które wojna i okupacja niemiecka poczyniły w składach księgarskich i w księgozbiorach prywatnych, daje się dotkliwie odczuwać brak fachowego piśmiennictwa łowieckiego. Pragnąc choć częściowo zaradzić temu, będziemy podawali w „Łowcu Polskim" krótkie monografie naszej najpospolitszej zwierzyny. Rozpoczynamy ten zbiór monografią sarny.

RED.

LEON RZYSZCZEWSKI

SARNA

Sarna jest najmniejszym okazem grupy jeleniowatych (Cervidae). Jeżeli w jeleniu podziwiamy królewską szlachetność postawy i ruchów, łoś masą i oryginalną brzydotą budowy wzbudza podświadomie wspomnienia epok minionych, to sarna czaruje nas urokiem i wdziękiem.

Rogi nosi jak u większości cervidów tylko samiec, zwany rogaczem lub kozłem. Jak wszystkie rodzaje tej grupy, kozioł zrzuca corocznie wyrastające z kościanej podstawy, tworzącej z czaszką jedną całość, rogi czyli t. zw. parostki. Dzieje sięto zwykle późną jesienią, w październiku lub listopadzie. Po krótkim czasie na tych kościanych podstawach zaczyna wyrastać nowe poroże, pokryte w czasie rozwoju t. zw. scypułą, t. j. cienką skórą i szerścią. Proces rozrostu i dojrzewania rogów trwa mniej więcej pół roku. Kiedy, zazwyczaj w początkach maja, rogacz odczuwa swędzenie, zwiastujące ukończenie rozrostu poroża, wyciera je, bijąc nim o krzaki i gałęzie. Blade początkowo nowe poroże nabiera koloru, który, zależnie od stanowiska i usposobienia indywidualnego, waha się od barwy ochry, do ciemnej, prawie czarnej sepii. Końcowe szpice rogów i pasemek, zazwyczaj ostre i wyszlifowane, nabierają białości i koloru kości słoniowej.

W normalnym rozwoju rogi przechodzą trzy stopnie, według których nazywamy rogacza: szpiczakiem, widłakiem i szóstakiem. Nazwy te określają dostatecznie kształty w poszczególnych fazach tego rozwoju. Nie zawsze jednak fazy te następują kolejno jedna po drugiej. Nieraz młody koziołek zaczyna od ledwie widocznych guzików, jawiących się zwykle już w drugim roku życia. Następne stadia rogacz czasem przeskoczy. I tak młody a silny osobnik tworzy nieraz poroże słabego szóstaka już w pierwszym stopniu. Zależy to od rozmaitych czynników. Ogólnie mówiąc, ostra i długa zima hamuje rozwój poroża, podczas kiedy łagodna zima działa dodatnio na bujne jego wykształcenie.

Rzadko które zwierzę daje tak liczne i rozmaite odchylenia od zwykłej normy, jak rogacz. W czasie tworzenia i rozwoju poroża, póki jest ono jeszcze miękkie, zdarza się, że rogacz w jakimś ciasnym przełazie zaczepi jednym lub obydwoma rogami o przęsło, drut albo gałąź. Wskutek tego następuje załamanie czy skrzywienie poroża w nienormalnym kierunku. W następstwie skaleczenia na nowym porożu pokazują się zgrubienia, bąble i naroście. Zagięcie lub złamanie rozwijającego się poroża mogą wywołać rozwój krzaczasty. Wreszcie uszkodzenie ciała przez postrzał lub skaleczenie powoduje jednostronne skarłowacenie lub inną zmianę, zwykle po stronie przeciwległej uszkodzeniu. Różne i dziwne bywają także reakcje na zanik części rozrodczych w następstwie uderzenia lub postrzału. Czasem rogacz już się więcej nie rozstaje z rogami, jakie nosił w chwili wypadku. Bywa znów, i to zdaje się częściej, że zrzuciwszy rogi wytwarza z obydwu podstaw kościanych łączną gąbkowatą narośl, która mu pozostaje niezmieniona. Takie kozły nazywają się „perukarzami".

Stopień szóstaka bywa ostatnim stopnim rozwoju rogów kozła. Znaczy to, że najwyższy ten stopień rozwoju powtarza się później. Czasami jednak szczególniej żywotne osobniki w korzystnych warunkach wytwarzają dodatkowe pasemka. Wyjątkowo bywają więc rogacze ósmaki, dziesiątaki i t. d. Można też znaleźć poroża, na których z dolnej podstawy rogowej, czyli róży, wyrasta jedno lub dwustronnie dodatkowy róg. Słowem, niema końca i kresu różnym niezwykłym urozmaiceniom. Na każdym silnym porożu dają się zauważyć idące w górę od nasady, czyli róży, nieraz aż do pierwszego rozwidlenia, mniej lub więcej gęsto osadzone rzędy regularnych narośli. Nazywamy to uperleniem poroża. Normalna wysokość poroża, mierzona sztywnym miernikiem, zwykle nie przekracza dwudziestukilku cm. Bywają jednak takie, które osiągają 30 i więcej cm wysokości.

Rogi służą kozłom za broń zaczepną i odporną. Napaść ze strony innych zwierząt zdarza się jednak rzadko na naszych polskich terenach łowieckich. Najczęściej rogacze używają swoich rogów walcząc z rywalami w porze godowej, rozpoczynającej się latem w lipcu i trwającej kilka tygodni. Ostre szpice szczytowe poroża są narzędziem ataku. Rozwidlenia i boczna pasemka służą do odparowania ciosu i wstrzymania przeciwnika. Przy równych siłach przewaga bywa po stronie tego rogacza, któremu zamiast rozwidlonego poroża wyrosły długie szpice, jak się to zdarza w późnym wieku, albo wskutek wypadku. Taki róg przebija paradę przeciwnika. Fachowa prasa niemiecka nazywa takie rogacze „mordercami". Zauważywszy

obecność mordercy w łowisku, właściciel polowania powinien starać się odstrzelić go jak najrychlej, ażeby nie narobił nieszczęścia, kalecząc lub zabijając lepszych od siebie przeciwników.

Chowane od wczesnej młodości koziołki, skoro tylko wyrosną im rogi, co przy obfitym pożywieniu w niewoli następuje szybko, stają się złośliwe i napastliwe, zwłaszcza, że wciąż obcując z ludźmi, straciły wszelką obawę przed nimi. To też częste bywają pokaleczenia ludzi i psów. Właściciel zaś, wypuszczając takiego rogacza do lasu, staje się odpowiedzialnym za uszkodzenia, jakie on może wyrządzić. Stanowczo więc odradza się wychowywać w domu młode koziołki.

Życie rogacza może trwać 12 do 15 lat. W szóstym lub ósmym roku rogacz taki osiąga szczyt rozwoju poroża. Później, w miarę ubytku sił i żywotności rogacza, cofa się również jakość jego poroża, kończąca się nieraz utworzeniem grubych, krętych szpiców. Rogacze o takich nienormalnych formach i odchyleniach określa się zbiorowym mianem wsteczników, albo myłkusów.

Niezwykła rozmaitość form i typów poroża rogaczy od dawien dawna zachęca amatorów myśliwych do zbioru rogów. Zbiory takie, jeśli mają być istotnie ciekawe i pouczające, powinny zawierać nie tylko pokazowe trofea, nadające się do dekoracji ścian, lecz wszystko co z danej okolicy pochodzi.

Chociaż ogólny wygląd i forma poroża daje możność ogólnikowego orzeczenia, czy nosił je młody czy stary rogacz, nie wystarcza to jednak dla określenia istotnego jego wieku, choćby w przybliżeniu. Uwzględniając wygląd podłużnego szwu czaszki, przechodzącego pomiędzy rogami, jak i objętość kościanych podstaw poroża, można już stwierdzić z dostateczną pewnością, czy chodzi tu o młodego, lub też starego kozła. U młodego bowiem zazębienie szwu będzie wyraźne i dość luźne, tworząc podłużne zgrubienie. W miarę wieku rogacza szew ten kostnieje i zarasta, a wypukłość wygładza się. Istotnym i rozstrzygającym sprawdzianem wieku rogacza będzie zawsze stopień zużycia jego uzębienia.

Charakterystyczną cechę i właściwość tej rodziny jeleniowatych stanowi rzucająca się w oczy różnica między szatą letnią a zimową sarn. Mało gęste owłosienie letnie ma barwę żółto-rudą, jaśniejszą nieco na głowie, kończynach i z tyłu na pośladkach. Szatę zimową stanowi długi i gęsty szaro-siwy włos, krótszy i jaśniejszy na głowie i na nogach. Z tyłu na pośladkach wyrasta kolisty wieniec długich, białych włosów, widoczny zdaleka, t. zw. „talerz". Osobliwością u sarn jest również brak ogona, który pozostaje w stanie szczątkowym, niewidoczny od zewnątrz, podczas kiedy inne jeleniowate mają krótkie, niemniej jednak widoczne ogony.

Inny jeszcze szczegół biologiczny odznacza ten gatunek, zapewniając sarnie odrębne miejsce w świecie zwierzęcym. Wspominaliśmy już powyżej, że u sarn okres godowy przypada na czas między połową lipca i końcem sierpnia. Daje się co prawda zauważyć pewien niepokój między sarnami i gonienie kozłów za kozami w ciągu listopada, który dawni autorzy uważali za istotny czas rui. Nowsze badania jednak dowiodły niezbicie mylność tego przypuszczenia i z wszelką pewnością uznały ruję letnią za jedynie prawdziwą. Otóż koza tak samo jak łania i klempa, t. j. samica jelenia i łosia, rodzi w maju, dając życie jednemu, albo dwu młodym. Ponieważ zaś ruja jelenia i łosia przypada na połowę września, samice tych gatunków, mające 6 do 10 razy większą wagę od sarny i dłuższy okres życia, noszą przez 7 miesięcy, podczas kiedy sarna nosi więcej niż 8 miesięcy. Pisma fachowe niemieckie dają nam najwięcej materiału dyskusyjnego w tej kwestii, prowadząc do wniosku, że rozwój płodu przechodzi w pierwszym okresie dłuższy okres zahamowania. Nie można temu przypuszczeniu odmówić pewnych cech prawdopodobieństwa. W braku jednak serii dowodów rzeczowych musimy uważać takie rozwiązanie tego ciekawego problemu poniekąd za wątpliwe. Otwiera się tu wdzięczne pole popisu dla wnikliwego badacza.

Przyczynę tej anomalii nie trudno odgadnąć. Gdyby bowiem okres nośności sarny odpowiadał jej budowie i wadze i wynosił 4 do 5 miesięcy, młode rodziłyby się w pełni pory zimowej, w najfatalniejszych warunkach atmosferycznych, tak iż niepogoda z jednej strony, a z drugiej niemożność ukrycia młodych od napaści szkodników, dawałyby słabym noworodkom nikłe widoki przetrwania do wiosny.

Sarny z natury są mieszkańcami lasów. Nie przebywają jednak w większych ilościach na dużych, zwartych obszarach leśnych. Wolą pomniejsze laski i dąbrowy wśród pól. Potrzebują mieszanych drzewostanów z przewagą drzew liściastych i krzewiastym podszyciem. Tam bowiem tylko znajdują potrzebną im rozmaitość pożywienia. Takie leśne sarny mają swoje określone stanowiska. Zwłaszcza silne, starsze kozły stoją na straży swych praw własności i odpędzają każdego obcego przybysza, któryby zdradzał chęć zadomowienia się na ich terenie.

W granicach takiego stanowiska znajdzie się zazwyczaj stary zrąb, łączka lub polanka leśna. Takie miejsce to ulubione pastwisko danej grupy sarn, odwiedzane z zadziwiającą regularnością, w określonych godzinach wieczornych. Można się o tym przekonać, jeśli urządzimy sobie w pobliżu wywyższone, dobrze zamaskowane stanowisko, które dla obserwacji należy zająć dość wcześnie. Starszy rogacz, gospodarz tego terenu, miewa zwykle przy sobie kozę z zeszłorocznym koźlęciem, a może i młodego rogacza, którego towarzystwo toleruje. To swoje otoczenie wysyła on naprzód na zwiady, podczas gdy sam trzyma się ukryty na skraju gąszczu. Dopiero przekonawszy się, że wszystko w porządku i że nie grozi niebezpieczeństwo, wychodzi sam i zaczyna się paść, bacząc jednak żeby mieć przed sobą swoich wywiadowców. Z zegarkiem w ręku można stwierdzić z jaką akuratnością ta scena codziennie się powtarza. Akuratną dokładność tych czynności, trwającą od wiosny przez cały czerwiec i część lipca, burzy dopiero następująca w lipcu pora godowa. Wtedy niepokój ogarnia sarny, a kozły wędrując w bliższej i dalszej okolicy, są całymi dniami w ciągłym ruchu. Szukając przygód ganiają młode kozy i biją się z rywalami.

Inaczej dzieje się w laskach polnych i dużych kompleksach czysto sosnowych borów, jakie np. z reguły przeważają w Wielkopolsce i sąsiadujących ziemiach śląskich. W takich okolicach sarny nie trzymają się w lasach, gdzie nie znajdują odpowiadającego im pożywienia. Stają się one tam zwierzyną czysto polną. W polach trzymają się prawie przez cały rok, chroniąc się do lasów dopiero zimą. Gdy tylko podrosną zboża ozime, tam obierają swe stanowiska. Na wiosnę

i późną jesienią, po siewach, widywało się tam ogromne stada sarn, po kilkadziesiąt sztuk, pasące się na oziminach. Latem ze swych stanowisk w zbożach wychodziły na koniczyny i inne zieleniny, żeby się tam paść wieczorem lub wczesnym rankiem. Obecnie bogate te stany sarn niewątpliwie są przerzedzone, a odmienna uprawa pól włościańskich i brak szerokich łanów, sprowadzi zmiany w sposobie ich życia.

Najkorzystniejszą proporcją płci u sarn byłby stosunek 2, a co najwyżej 3 kozy na jednego kozła. Taki stosunek trafia się rzadko, chyba jedynie tylko w na wpół dzikich, pierwotnych rewirach. Zwłaszcza na zachód od Wisły i w Wielkopolsce panowała ogromna przewaga kóz, stosunek niezdrowy, prowadzący stopniowo do degeneracji i skarłowacenia gatunku. Będzie to wymagało w przyszłości wnikliwej korektury ze strony właścicieli terenów łowieckich przez kilkuletnie szanowanie rokujących nadzieję kozłów i odstrzał wszystkich starzejących się i jałowych kóz.

Sarny wydają dwa rodzaje głosów. Jeden to mniej lub więcej cienki pisk. Koza tym głosem przywołuje koźlęta, a w czasie rui czasem kozła. Goniona wyraża przerażenie głośnym i przenikliwym piskiem. Naśladując ten głos myśiwy w odpowiednim czasie może przywabić kozła. Czy i rogacz wydaje ten głos jest kwestją sporną. Zdaje się jednak, że i kozły piszczą, goniąc za kozą. Drugi głos, bek, podobny do szczekania, wydają obydwa rodzaje, tak kozy, jak i kozły jako ostrzeżenie, skoro tylko który ze zmysłów, t. j. wzrok, słuch, a w pierwszym rzędzie węch, zdradzają im jakieś niebezpieczeństwo, zwłaszcza zaś bliskość człowieka. Mylnym jest mniemanie, jakoby tylko kozły wydawały ten głos. Wręcz przeciwnie. Koza spłoszona lub zaniepokojona odskoczy kilka kroków, poczym stojąc na miejscu drze się w niebogłosy, tupie przednimi nogami, alarmując przez to całą okolicę. Silny rogacz natomiast zaniepokojony lub spłoszony w jakibądź sposób, beknie raz i drugi grubym głosem, poczem cicho i ostrożnie wynosi się. W tenże sposób reagują kozy, jeżeli np. z gąszczu, blisko którego się pasą, nagle wyroi się stado dzików, albo gdy do kozy z koźlęciem zbliży się lis. Słowem każdy nieoczekiwany szelest, czy też ruch w bliskości miejsca, gdzie znajdują się sarny, może wywołać szczekanie, podejmowane następnie przez dalsze sztuki.

Ogólne rozprzestrzenienie gatunku sarn w Europie jest szerokie i obejmuje poza Polską, gdzie je prawie wszędzie znajdziemy, niemal wszystkie kraje, nawet południową Szwecję i Norwegję. Nie ma ich jedynie w pasie nadmorskim morza Śródziemnego, w Finlandii i w północnej Rosji. Już na Kaukazie i na Uralu występuje bardzo podobny do naszego podgatunek azjatycki. Różni się od gatunku europejskiego nieco wyższym wzrostem i trochę odmiennym kształtem poroża. Rogi azjatów są nie tylko znacznie wyższe, ale i więcej rozłożyste przez to, że kościane podstawy rogów na czaszce skierowane są bardziej na zewnątrz.

W dawnym obwodzie Donieckim w Rosji znajdowała się jakby wysunięta przednia straż gatunku azjatyckiego. Mało komu znaną będzie egzystencja takiej wyspy azjatów na zachód od Dniepru w okolicach Białocerkwi. Zezwala nam to na przypuszczenie, że kiedyś podgatunek azjatycki zamieszkiwał nasze wschodnie kresy. Wobec bliskiego pokrewieństwa i podobieństwa tych gatunków, niektórzy właściciele rozległych terenów łowieckich importowali okazy podgatunku azjatów (c. pygargus) w myśli, że może tą drogą uda się poprawa rasy miejscowej, przez skrzyżowanie z azjatami. O ile mi wiadomo żadna z takich prób nie udała się. Wiadomo w każdym razie, że sarny syberyjskie odbywają dalekie periodyczne wędrówki, przenosząc się w jesieni z północnych części tajgi na odległe stanowiska południowe, w których spędzają zimę, ażeby latem znów powrócić na północ. Być może, że wrodzony ten pęd do dalekich wędrówek uniemożliwia utrzymanie ich w określonych granicach.

LEON RZYSZCZEWSKI

Pieśń myśliwska

Przemiany, którym uległo myślistwo wraz z całym układem życia społecznego, sprawiły, że muzyka myśliwska, znajdująca wyraz początkowo w sygnałach i pobudkach, granych na rogach i trąbkach, później w fanfarach, wykonywanych przez zespół trębaczy w wielkopańskich łowiskach, wreszcie nawet w operach, jak „Leśniczy z Kozienickiej Puszczy“ Kurpińskiego, „Myśliwy czyli dwoje oczu za jedno“ B. Kicińskiego, „Wolny Strzelec“ Webera — odchodzi już ostatecznie w przeszłość.

Jedynym jej wyrazem zostaje jeszcze pieśń myśliwska, jako wyraz indywidualnego nastroju, wewnętrznej potrzeby myśliwego do wyrażenia w słowach i w melodji przepełniających pierś jego uczuć, wzbudzonych przez emocję myśliwską i przez piękno otoczenia.

Powodowani chęcią pielęgnowania tego źródła wzruszenia myśliwskiego dajemy naszym czytelnikom „Pieśń Myśliwską“ z muzyką kol. Konstantego Pereswiet-Sołtana, ułożoną do słów przepięknej pieśni myśliwskiej przedwcześnie zmarłego poety, Juljana Ejsmonda, współredaktora „Łowca Polskiego“ w latach 1924—29. Przytaczamy poniżej pełny tekst tej pieśni:

„Myśliwska ochoto, dniu łowów szczęśliwy,
Hej, serce jak złoto ma każdy myśliwy
I duszę radosną, jak młody gaj wiosną,
I boską, beztroską pogodę!

W ostępie pachnącym od kęp macierzanki,
Na mszarze gorącym jak uścisk kochanki,
Na leśnym moczarze, w południa pożarze
Gonimy szczęśliwą przygodę!

Pieśń głuszca wiosenna i słonek chrapanie,
Nim senna, promienna jutrzenka powstanie,
Na mszarnym rozlewie bełkoty cietrzewie
Z uśpienia nas budzą o wiośnie.

W złocistej zieleni puszczańskich bezmiarów
Pobudka jesieni — głos dźwięczny ogarów,
Co pieśnią wytryska gdzieś hen z uroczyska,
Do marzeń kołysze miłośnie.

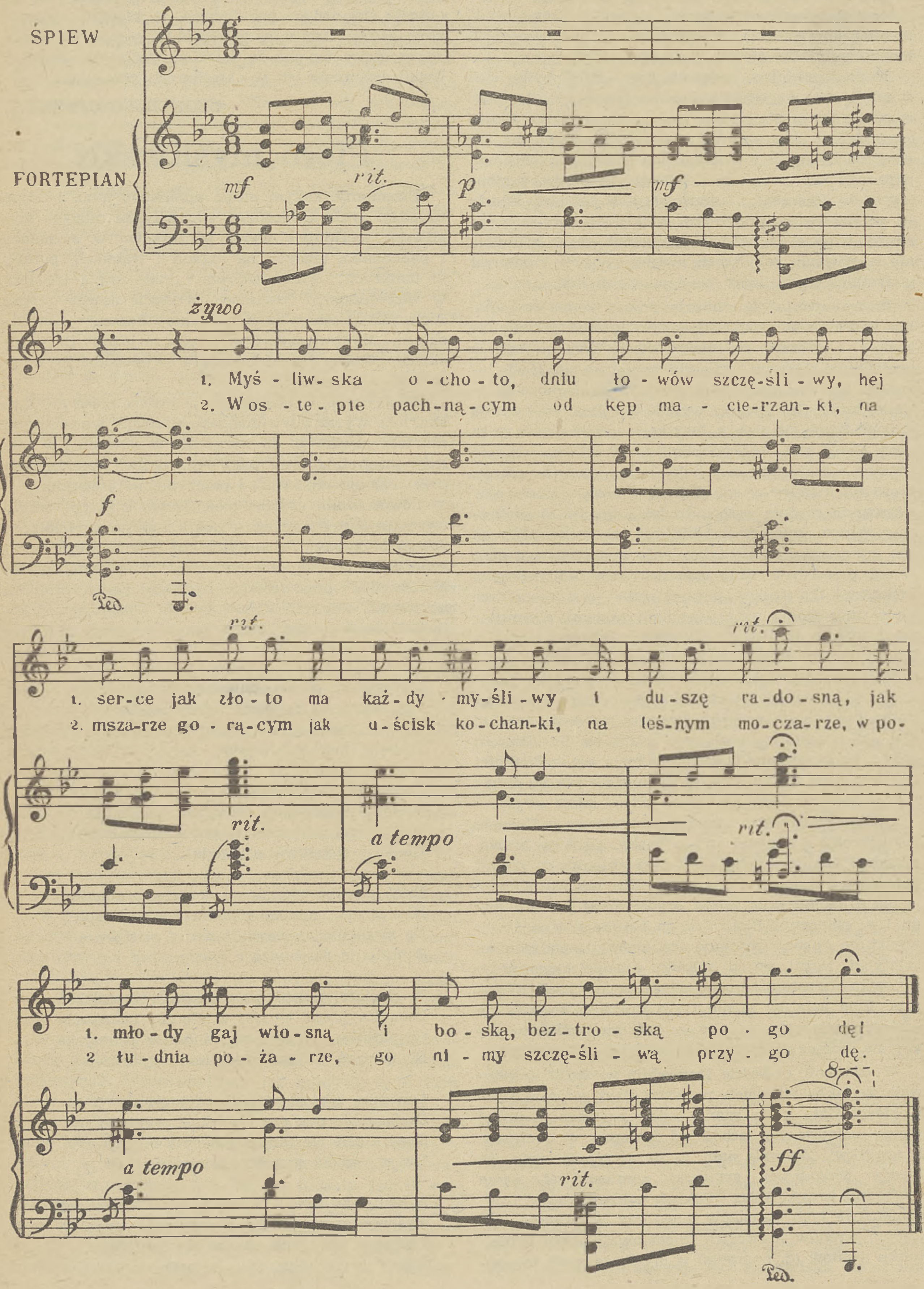
Łowiecki żywiole, dziewicza przyrodo,
Czająca się w górze i w dole przygodo,
Krwi głosie prastary, na bory i mszary
Idziemy pieśń szczęścia śpiewając!

A kiedy po latach śmierć przyjdzie z oddali
Myśliwy w łeb śmierci z przyrzutu wypali.
Trafiona tak celnie, rażona śmiertelnie
Śmierć w ogniu zruluje jak zając!

PIEŚŃ MYŚLIWSKA

„Na bory i mszary idziemy pieśń szczęścia śpiewając"

Słowa: J. EJSMOND
Muzyka: K. PEREŚWIET-SOŁTAN



PODZIĘKOWANIE

Komitet Odbudowy Siedziby Polskiego Związku Łowieckiego składa podziękowanie Członkom Związku, którzy odezwali się na apel, zamieszczony w Nr. 6 ;;Łowca Polskiego", i złożyli już ofiarę na odbudowę w Warszawie centralnego ogniska organizacyjnego Myśliwych Polski, mającego się stać kuźnią pracy społeczno - łowieckiej o lepsze jutro i świetlicą współżycia towarzyskiego — klub myśliwski.

Dotąd zebrano kwoty następujące:

Od członków Komitetu Wykonawczego — 15.000 zł.; od Walnego Zgromadzenia Warszawskiej Rady Wojewódzkiej — 3.400 zł.; od Powiatowej Rady Łowieckiej na m. st. Warszawę — 19.595 zł.; od Gdańskiej Wojewódzkiej Rady Łowieckiej w Sopocie — 5.750 zł., od Rady Powiatowej w Mielcu — 8.000 zł.; od Koła Łowieckiego „Ponowa" — 2.000 zł.; od Kolegów: J. Zielińskiego — 1.000 zł.; R. Vogla — 500 zł.; T. Kluka — 500 zł.; Br. Jama — 500 zł.; K. Cybulskiego — 500 zł.; S. Płoskiego — 500 zł.; mgr: Ferensteina — 200 zł.; K. Wodelskiej — 210 zł.; Hołowińskiego — 200 zł.; Ottomańskiego — 180 zł.; J. Gieysztora — 500 zł: — Razem 58.525 zł.

Ponadto na zebraniach Rad Wojewódzkiej i Powiatowej w Warszawie uchwalono złożyć na cel odbudowy siedziby Związku jednorazową ofiarę w wysokości 100 zł. od członka.

Jest to oczywiście kropla w morzu w stosunku do istotnych kosztów odbudowy, obliczonych na 2½ miliona złotych. Zmusza to nas raz jeszcze zwrócić się do Kolegów-Myśliwych z gorącem wezwaniem o poparcie podjętej akcji i zbierania na ten cel ofiar przy nadarzających się okazjach polowań, zebrań towarzyskich, posiedzeń i t. p., przekazując zebrane kwoty na rachunek P. Z. Ł. w PKO Nr, I 161 oraz w KKO w Warszawie Nr. 737.

Dwa razy daje — kto prędko daje.

Z myśliwskim pozdrowieniem
Za Komitet Odbudowy Siedziby P. Z. Ł.
Wice-prezes Związku: JÓZEF SKRZYPEK

Ogłoszenie

W dn. 10 i 11 maja r. b. odbędą się w Krakowie plenarne POSIEDZENIA NACZELNEJ RADY ŁODIECKIEJ Polskiego Związku Łowieckiego oraz KAPITUŁY ODZNACZEŃ ŁOWIECKICH.

Posiedzenie Kapituły rozpocznie się w dn. 10-ym maja o godz. 10-ej w lokalu Wojewódzkiej Rady Łowieckiej (ul. Mikołajska 5), zaś plenarne posiedzenie Naczelnej Rady Łowieckiej — w dn. 11-ym maja o godz. 10-ej w sali posiedzeń Polskiego T-wa Tatrzańskiego przy ul. Andrzeja Potockiego 5.

Sprostowanie

W Nr. 1/1947 na str. 2-ej okładki wkradła się przez niedopatrzenie korekty przykra omyłka. W obwieszczeniu p. t. „Otwarcie przedpłaty na wydawnictwa P.Z.Ł." powiedziano, iż zasiłek na wydanie prac z zakresu łowiectwa w łącznej sumie 150 tys. zł. otrzymano od „Min. Leśnictwa i Oświaty". Tymczasem w istocie zasiłek ten pochodził w kwocie 100 tys. zł. od MINISTERSTWA ROLNICTWA, a w kwocie 50 tys. zł. od Ministerstwa Oświaty, jak to zresztą podane było w Nr. 6/1946 r. „Łowca Polskiego".

OD REDAKCJI

Złożony już 6 tygodni temu zeszyt 2-gi „ŁOWCA POLSKIEGO" za mies. marzec-kwiecień nie mógł być wczas wydrukowany z powodu niedostarczenia przydzielonego nam papieru.

Informując o tem czytelników, prosimy o wyrozumiałość i nie obarczanie Redakcji zarzutami, za które nie możemy ponosić odpowiedzialności.

WARUNKI PRENUMERATY „ŁOWCA POLSKIEGO"

Członkowie Polskiego Związku Łowieckiego, którzy opłacili składkę członkowską za r. 1947 na ręce odnośnych Rad Wojewódzkich i Powiatowych w kwocie 400 zł., a leśnicy wszelkich stopni oraz funkcjonariusze Urzędów Bezpieczeństwa i Milicji Obywatelskiej — w kwocie 200 zł. — otrzymują „Łowiec Polski" bez żadnej dopłaty.

Wobec wyczerpania nakładu Nr. 1-go członkowie P. Z. Ł., którzy opłatę uiścili po dniu 15 marca, otrzymywać będą pismo dopiero od Nr. 2-go.

Dostawa pisma członkom Związku dokonywana jest za pośrednictwem Powiatowych względnie Wojewódzkich Rad Łowieckich, które, otrzymując z Administracji „Łowca Polskiego" ilości egzemplarzy stosownie do zgłoszonych spisów członków, przesyłają je pocztą indywidualnym adresatom. Wszelkie zmiany adresów, względnie reklamacje, powinny być przeto kierowane do właściwych Rad Powiatowych, względnie Wojewódzkich.

Inne osoby, pragnące otrzymywać nasze pismo, winny tytułem prenumeraty wpłacać na konto „Łowca Polskiego" w P.K.O. Nr. I 1077 kwoty w stosunku 35 zł. za zeszyt. Ponieważ Nr. 1-y jest już wyczerpany za 5 pozostałych do końca roku zeszytów wpłacić należy 175 zł.

CENY OGŁOSZEŃ

Za ogłoszenie zajmujące całą stronę na okładce lub za tekstem pobiera się — 5.000 zł., za pół strony — 3.000 zł., za jedną czwartą strony— 2.000 zł., za jedną ósmą — 1.200 zł:

Za ogłoszenia w tekście — o 50% drożej.

Za ogłoszenia drobne zwykłym drukiem — po 5 zł. za wyraz; grubym drukiem — po 10 zł. za jeden wyraz.

Organizacje Polskiego Związku Łowieckiego oraz Dyrekcje Lasów Państwowych korzystają ze zniżki 50%.

Wydawca „Polski Związek Łowiecki". Żulińskiego 6.

Redaktor: J. Gieysztor Miedziana 4a.

Zakłady Graf. „Czytelnik", Warszawa, Targowa 62. [illegible]